SPRAWA SŁOWIAŃSKA A SPRAWA POLSKA.

Gdyby sprawa słowiańska miała polegać na powinowactwie krwi, pozostawiłbym ją antropologom i gdyby na tem miały się opierać wnioski polityczne czy kulturalne, — zaiste, szkoda byłoby czasu i atłasu; — gdyby w imię tego powinowactwa zmierzano do wytworzenia kultury, — byłoby to spóźnionem wynajdywaniem prochu, a gdyby chciano jakiejś specyficznie „słowiańskiej“ kultury, byłoby to sztuczną pozą dla oryginalności, a w istocie wolnemi żartami z rozsądku; — gdyby w robotach słowiańskich chodziło tylko o „zbliżenie kulturalne“, czy „wzajemność kulturalną“, nie byłoby różnicy pomiędzy stosunkami wzajemnymi narodów słowiańskich, a któregokolwiek z nich do jakiegokolwiek obcego, choćby wrogiego; — słowem, gdyby takie tylko pomiędzy Słowianami zachodziły względy, nie byłoby sprawy słowiańskiej.

„Sprawa“ powstaje ze wspólnych dążności, a więc kulturalne dążenia Słowian musiałyby różnić się zasadniczo od prądów kulturalnych reszty cywilizowanego świata, żeby mogła być mowa o osobnej kulturze słowiańskiej. Rosyjska „samobytnaja“ ma — dzięki Bogu — znaczenie wyłącznie lokalne i w samej Rosyi coraz mniej wyznawców; Rosya garnie się coraz bardziej do kultury — jedynej i powszechnej, zdatnej wystarczyć i dla Słowian! Co za tą powszechną się znajduje, jest właściwie antikulturalnem.

Sprawa słowiańska polega na wspólności dążeń politycznych, których ostatecznym celem zrzeszenie państwowe, oparte o trzy morza: Czarne, Bałtyckie i Adryatyckie. Dążenie to jest w świadomości Słowian od lat kilkudziesięciu, ale było niewykonalnem dla braku programu, według którego postępując, możnaby zwiększać stopniowo prawdopodobieństwo osiągnięcia celu. Do wyrobienia takiego programu trzeba było i zmysłu politycznego i dokładnego, wszechstronnego znawstwa stosunków. Ani jedno, ani drugie improwizować się nie da. Zmysł

polityczny powstać może tylko przez dłuższe ćwiczenie w uprawianiu polityki praktycznej i rzadko kiedy wyrabia się wcześniej, jak w drugiem pokoleniu pracowników. Nie można się więc dziwić, że zrazu rzucono program wręcz fałszywy. Sądzono, że dynastya rosyjska dokona zrzeszenia Słowiańszczyzny, a w gorączkowem oczekiwaniu, żeby to mogło nastąpić jak najprędzej i żeby Rosyi ułatwić spełnienie „misyi“ — zdawano Polskę na łaskę i niełaskę Rosyi, dąsając się nawet na nas, że jeszcze żyjemy. Taki program zmniejszał coraz bardziej prawdopodobieństwo polityki słowiańskiej, bo opierał się na trzech fałszywych przypuszczeniach:

1) jakoby dynastya rosyjska miała w sobie poczucie misyi słowiańskiej;

2) jakoby zmniejszała się żywotność narodu polskiego;

3) jakoby Polska mogła pogodzić się z Rosyą rusyfikującą.

Rosya oficyalna. sprzężona jak najściślej z Prusami, pozostawała jednak zawsze w antagonizmie do Austryi i ze względu na możliwość starcia z monarchią Habsburgów pielęgnowała ten prąd słowiański, tem chętniej, że był antypolskim. Tak powstał panslawizm, który był cudaczną utopią i „kazionnoje sławjanofilstwo“, które było komedyą, wystarczającą do łapania na plewy pozbawionych zmysłu politycznego pobratymców.

Z czasem zmysł polityczny począł się rodzić. U Czechów już Havliček oświadczył jasno i wyraźnie, że chce być Czechem, a potem dopiero Słowianinem; ani Palacký, ani Rieger nie myśleli też „topić się w morzu słowiańskiem!“ W roku 1863 cała opinia czeska była po stronie polskiej! Zanosiło się na odwrócenie ruchu słowiańskiego, na zwrócenie go przeciw Rosyi pod egidą federacyjnej Austryi.

Ale w r. 1867 nastaje nowa zmiana, dzięki zaprowadzeniu dualizmu Austro-Węgier, narzuconego habsburskim dzierżawom — jak wykazują nowsze odkrycia — przez Prusy. Dualizm oddawał jednę część Słowian w pęta Niemcom, drugą część Madiarom. Nie udało się zastosować Austryi do idei słowiańskiej, zwrócili się więc Czesi do Rosyi i nastąpiła „pielgrzymka do Moskwy“, opisana swego czasu tak świetnie przez Klaczkę. Dziś, po 40 latach, przyznać musimy Klaczce słuszność w wielu szczegółach, ale nie mógł on mieć ogólnej perspektywy na to wydarzenie. Dziś w pielgrzymce moskiewskiej widzimy kompromis pomiędzy federacyjnym programem słowiańskim, a rosyjskim

autokratyzmem. Uważano ten kompromis za konieczność polityczną wobec dualizmu.

Kompromis nie udał się, bo udać się nie mógł. „Kazionnoje“ nie ucywilizowało się, tylko demoralizowało pobratymców, a w Rosyi tego tylko uważano za dobrego Słowianina, kto był nieprzyjazny względem Polski. Pobratymcy nasi po większej części starali się zasłużyć na dobrą opinię w oficyalnych sferach rosyjskich, a my znieśliśmy to biernie i zamiast starać się zwrócić ideę słowiańską na inne tory, poprzestaliśmy na przyjęciu do wiadomości, że idea słowiańska jest przeciw nam, a więc nie należy się z nią zadawać.

Reakcya przeciw panslawizmowi wyszła z Bułgaryi, poczem zaczęto przezierać w Chorwacyi i w Czechach. Nie mogąc zaprządz w rydwan słowiański Austryi, a tracąc wiarę w Rosyę — stracono głowę i wydano hasło, że idea słowiańska nie jest polityczną, tylko „kulturalną“. Było to abdykacyą z zachowaniem honorów, pozornem wyjściem z sytuacyi, z której wyjścia nie umiano znaleźć. Oficyalnie niejako reprezentacya słowianofilstwa zostaje przy „kazionnych“, ale dlatego tylko, że nikt nie starał się wydrzeć im tego. Dla zachowania decorum uprawia się dalej komedyę, w którą jednak wierzyli już tylko najnaiwniejsi. Niezgodność formy z treścią daje się ciężko we znaki Czechom, dezorganizując coraz bardziej ich życie publiczne, czego skutki znać dotychczas. Zatracano coraz bardziej w całej Słowiańszczyźnie to, co jest podstawą polityki, t. j. oryentacyę polityczną, która nie da się żadną miarą osadzić na... kłamstwie. A kłamano coraz bardziej i Rosyi i sobie.

Idea słowiańska stawała się zlepkiem mechanicznym najrozmaitszych przeciwieństw, pragnień i złudzeń, ideałów i nonsensów, aż wreszcie stała się frazesem. Toteż nawet w Czechach dawały się słyszeć głosy, że Czesi nie mają właściwie w tej idei żadnego interesu politycznego i byliby może Czesi dali spokój słowianofilstwu, gdyby nie interesy handlowe, wymagające słowianofilstwa przynajmniej „kulturalnego“.

Odrodzenie idei słowiańskiej mogło nastąpić tylko przez uznanie polskich praw narodowych, tylko pod hasłem „Jeszcze Polska nie zginęła!“ Skoro nicość owego kompromisu wykazała się w całej postaci, należało powrócić do hasła wolnościowego, federacyjnego i można to było zrobić w Austryi już przed kilkunastu laty. Odkąd także południowi Słowianie poczęli

być czynnikiem politycznym w Cislitawii, należało wyprzeć się panslawizmu, powrócić do słowianofilstwa z lat 1848—1867, oświadczyć się przeciw oficyalnej Rosyi, wciągnąć Polaków do sprawy. Gdyby to było nastąpiło, patrzanoby w Wiedniu inaczej na hasła słowiańskie, nie byłoby tam tylu uprzedzeń przeciw Czechom, ani tyle pobłażliwości dla Madiarów, — byłaby mogła nastąpić rewizya polityki austryackiej, na co dotychczas napróżno czekamy. Bezmyślny „panslawizm“, trzymający się już tylko siłą bezwładności, a jednak głoszony ciągle, chociaż bez potrzeby i bez wiary w Rosyę — nie mógł oczywiście zjednywać Czechom, Słowieńcom i Chorwatom sympatyj na wiedeńskin dworze!

Frazes tylko uprawiano; ale i frazes może mieć skutki, chociaż tylko — ujemne. I tak się stało, że na panslawizmie w Austryi tracili wszyscy, prócz nas, przeciw którym on był zwrócony! Nasze zdobycze narodowe doszły do punktu, poza który już się nie posuną bez nowej reorganizacyi Austryi; innym Słowianom daleko jeszcze do tego. A mogli byli być znacznie bliższymi tego punktu, gdyby nie fałszywy program słowiański: podniesienia się kosztem Polski, ofiarowanej na rusyfikacyę, dla zyskania przyjaźni Rosyi.

Polonofobia osłabiała Słowian austryackich; tylko polonofilizm może ich podnieść politycznie. A wolnościowy, federacyjny program słowiański, musi być zarazem polonofilskim. Nie znalazł się wśród Słowian austryackich nikt, ktoby się na tem był spostrzegł, a skutkiem tego idea słowiańska, pozbawiona programu, przestała rzeczywiście być ideą polityczną, — a że niczem innem być nie mogła, stała się tylko bałamuctwem.

Przeminęły obawy — czy może nadzieje? — wojny austryacko-rosyjskiej; zniknęły: ostatni bodziec panslawizmu z jednej strony, a z drugiej nasza idée fixe, że uda się wyzyskać Austryę bardziej dla sprawy polskiej.

Z naszej strony pojawiają się wtenczas próby uprawiania w Rosyi polityki na wzór galicyjskiej. Nie mogły się udać, ale wywarły wpływ na myśl polityczną polską, wyrywając ją z bierności, w jaką popadła pod tamtym zaborem. Program (jakikolwiek) jest znakiem ocknienia. „Ugodowcy“ znaleźli przeciwników, ale zmusili ich również do obmyślenia programu, i tak po czasie — stosunkowo nader krótkim — całe społeczeństwo pod zaborem rosyjskim poczęło żyć politycznie. (Wielka to już

zdobycz, — a choć na zmysł polityczny czekać nieco trzeba, początek jednak zrobiony).

W Krakowie śledzono z największem oczywiście zajęciem rozwój stronnictw warszawskich, które n a r e s z c i e zaczynały być politycznemi (przedtem bywały doprawdy tylko „kulturalnemi“). Ile one otrzymywały z Galicyi posiłków i które od kogo, to tu do rzeczy nie należy, ani w ogóle chyba nie może jeszcze należeć do druku. Wiadomo, że „wszechpolskie“ samo niebawem urządziło wyprawę na Galicyę, uwieńczoną powodzeniem.

W społeczeństwach bardziej już dojrzałych politycznie (a takiem jest Galicya wobec Kongresówki) zajmują się polityką nietylko ci, którzy robią sobie z tego jakby zawód życia; nietylko ci, którzy np. robią wybory. Znać to najbardziej na społeczeństwie politycznie najdojrzalszem, na Anglii, gdzie mnóstwo było i jest osób, uprawiających politykę „teoretycznie“ niejako (a jednak nie bez wyników praktycznych), osób, o których gotówby ktoś powiedzieć, że „zabłąkali się do polityki z pośród szaf bibliotecznych“. Tacy, poprzestając na obserwacyi, oczywiście dokładnej, gruntownej, współczesnej konstelacyi politycznej, nie mięszając się do niej bezpośrednio, zwykli tem bardziej myśleć politycznie o przyszłości. I tacy widać potrzebni, skoro w Anglii nikt ich za to nie wyszydza [1]).

Znalazło się tedy w Krakowie grono, które w grudniu 1901 r. założyło „Klub Słowiański“. Nie miał on służyć żadnemu stronnictwu (wiedzieliśmy zresztą dobrze, że żadne nie byłoby przyjęło tego prezentu). Poza stronnictwami (czy może ponad niemi?), miał Klub służyć s p r a w i e p o l s k i e j, a w pierwszym rzędzie dopomóc rodakom pod zaborem rosyjskim. Bezpośrednim celem Klubu było: wydrzeć monopol „kazionnym“, a potem: wyrzucić ich poza nawias idei słowiańskiej. Chodziło o poruszenie opinii Słowian na rzecz polskich praw narodowych w Rosyi, — a gdyby nam się to udało, w takim razie idea słowiańska musiałaby przybrać cechę antyrosyjską, o ileby w Rosyi nie powstało stronnictwo p o l o n o f i l s k i e. Obliczaliśmy, że na wywieszeniu sztandaru słowiańskiego sprawa polska nie może nic stracić, a może zyskać, wywołując nowe ugrupowanie się stronnictw w Rosyi,

[1]) Natomiast w Bułgaryi aż do początku tego roku nie mogli się oswoić ze zjawiskiem, żeby profesorowie uniwersytetu zajmowali się sprawami politycznemi; w Rosyi zaś rząd oznacza, do jakich stronnictw wolno im należeć.

a może i w Austryi... W każdym razie wystąpienie słowianofilstwa polskiego musiało być początkiem końca panslawizmu, a więc pośrednio także początkiem nowego zapatrywania się w Wiedniu na sprawę słowiańską.

Darzyło nam się w walce z panslawizmem i „moskalofilstwem“ wcale dobrze i po trzech latach *Świat Słowiański* miał prowadzić walkę intenzywniej, niż to mogły robić same posiedzenia klubowe i zająć się wyrobieniem programu dla idei słowiańskiej na zasadzie: „Jeszcze nie zginęła!“.

Ledwie wyszedł pierwszy zeszyt, zaszły rzeczy niespodziane: właśnie wybuchła rewolucya rosyjska. Tempo przyspieszyło się nadzwyczaj, polonofilstwa mieliśmy w Rosyi przykładów nie mało, a pobratymcy już widzieli Polskę pogodzoną z Rosyą.

My byliśmy od początku pessymistami co do tego i pod tym względem nastawało nieporozumienie między nami, a pobratymcami. Nie wierzyliśmy, żeby rząd rosyjski (związany jeszcze ściślej z Prusami!) chciał się pogodzić z Polską — ale rozgorączkowani pobratymcy, nie znając stosunków, tłumaczyli sobie nasz pessymizm tem, jakobyśmy my nie chcieli zgody z Rosyą. Ażeby więc nie utrudniać pochodu polskiej myśli w Słowiańszczyźnie, należało ich przekonać, że nie myślimy o wyzyskaniu rewolucyi, jako sposobności do oderwania się od Rosyi, że zgody chcemy, — bo tylko w ten sposób można było przekonać ich o tem, że rząd rosyjski zgody nie chce.

Z zaniedbaniem więc innych rubryk słowiańskich — a zwłaszcza tak ważnej dla nas czeskiej — musieliśmy lwią część pisma obracać przez pewien czas na wywody o uznawaniu państwowości rosyjskiej, akcentując tę rzecz ze względów taktycznych nader silnie, aż nas od tej rubryki uwolniło wystąpienie p. Dmowskiego. Było to dla sprawy narodowej koniecznością polityczną, od której nie bylibyśmy odstąpili, choćby wszystkie stronnictwa były przeciw nam; tem bardziej uradowaliśmy się deklaracyą prezesa Koła Polskiego w Dumie.

Z natury bowiem rzeczy polonofilstwo nie mogło się szerzyć w Słowiańszczyźnie bez uznania z naszej strony państwowości rosyjskiej, zwłaszcza że powstał prąd polonofilski w samej Rosyi; że zaś dla naszych rosyjskich przyjaciół uznanie przez nas państwowości rosyjskiej jest i będzie zawsze conditio sine qua non, to zrozumiałe dla każdego. Gdyby nie nastąpiła z polskiej strony taka deklaracya, polonofilizm byłby w Rosyi prze-

padł, a „kazionne“ słowianofilstwo mogło było rozkwitnąć na nowo. W razie odrodzenia się Rosyi idea słowiańska przestałaby może być „kazionną“, ale nie przestałaby już być antypolską. Nienawiść Słowian przeciw nam stałaby się wprost żywiołową.

Sytuacya *Świata Słowiańskiego* była przez pewien czas taką, że uwieńczony powodzeniem w walce z „kazionnem“, obawiał się, że po rewolucyi i skutkiem niej — przyjdzie mu patrzeć na powtórne wyrzucenie sprawy polskiej z idei słowiańskiej. Zapobiedz można było temu tylko przez głośne uznanie państwowości rosyjskiej i nie można było używać dość silnych argumentów, żeby do tego doprowadzić jak najprędzej. Cieszyliśmy się, że nasze artykuły na ten temat pobratymcy tłumaczą i rozgłaszają, a drżeliśmy na myśl, czy politycy właściwi, aktualni, nie wyprą się nas?

Tu Roman Dmowski ma zasługę historyczną, że zrobił to, o czem my tylko pisać mogliśmy; a słowa nie byłyby na długo starczyły za surogat czynu... Deklaracyą swą odwrócił wiele niebezpieczeństw.

„Neoslawizm“ jest bądźcobądź w kierunku naszego programu i wielką dla nas pomocą. Ci, którzy z nim walczą, pracują na rzecz polonofobii. Gdyby na czele narodu stanęła „fronda“, nastałaby orgia polonofobii taka, że wołanoby o nowych Murawiewów nietylko ze strony „istinnych“. Niezgodne o formę rządu stronnictwa, byłyby wszystkie zgodne przeciw nam, a cała Słowiańszczyzna miałaby do nas ciężki żal, ten żal, który teraz może się zwrócić tylko przeciw rządowi rosyjskiemu, boć my zrobiliśmy wszystko, co do nas należało.

Rosyi oficyalnej... spaliło na panewce. Ostatnia sposobność wskrzeszenia słowiańskiej polonofobii zawiodła.

W tej chwili poza nawiasem idei słowiańskiej jest — rząd rosyjski. Korzystać z niej mógłby tylko taki rząd rosyjski, któryby chciał oddać nam sprawiedliwość. Znowu więc nie mamy na słowianofilstwie nic do stracenia, tylko do zyskania.

Neoslawizm musi być wobec rządu rusyfikatorskiego opozycyjnym. Nietylko więc nie może wyjść na korzyść oficyalnych sfer reakcyjnych, ale powiększa szeregi opozycyi, wciągając w nią w imię neoslawizmu i stosunków polsko-rosyjskich osoby, które nie stanęłyby może w jej szeregach w imię samych swobód obywatelskich. Nie jest wykluczonem, że neoslawizm stanie się zaczynem, który wywoła po pewnym czasie nową konfiguracyę

stronnictw rosyjskich, a pewnem jest, że w najbliższej sesyi Dumy Koło polskie nie będzie już izolowanem. I choćby nie było innej przyczyny, ta jedna wystarczałaby, żeby wszcząć w Polsce propagandę idei słowiańskiej i pójść za neoslawizmem. Tem lepiej dla nas, że słowianofilstwo polskie starsze jest od neoslawizmu, że nie my idziemy za nim, lecz on za nami. Nie podlegamy w tem niczyim wpływom, lecz przeciwnie, rozszerzamy propagandę myśli politycznej, która w Polsce powstała i przez kilka lat tylko po polsku była głoszona, zanim ją zrozumiano w Pradze i w Petersburgu [1]).

Zniknęły owe trzy fałszywe przypuszczenia, o których była mowa na początku artykułu. Neoslawizm, rozumiejąc, że interes Rosyi wymaga pogodzenia się z Polską, musi się starać o to, żeby porzucono politykę rusyfikacyjną, pośrednio więc musi przeć w kierunku antypruskim. Jeżeli się rozwinie, musi dążyć do wpływu na politykę zewnętrzną Rosyi. Oby go pozyskał! W takim razie powinienby spotkać się z uzupełniającym go prądem w Austryi, ażeby działając równocześnie w Petersburgu i w Wiedniu, doprowadzić do sojuszu Austryi z Rosyą (Anglią, Francyą), a do rozerwania trójprzymierza.

Czyż trzeba dowodzić, że interes polski wymaga, żeby robić wszystko, co może być szkodliwe dla trójprzymierza?

Ażeby Polska mogła powstać, muszą upaść Prusy. Mamy na to czasu niewiele, jakie lat 30, w ciągu których musi się zmienić zupełnie stosunek sił państwowych w Europie, inaczej bowiem możemy ponieść straty, na których naprawę trzebaby całych wieków. Sprawa polska wymaga przeto, żeby wzmacniać w Rosyi i w Austryi kierunek antypruski i zbliżać ku sobie obydwa te państwa. W tem sprawa polska jest najzupełniej identyczna ze sprawą słowiańską, a więc w rzeczy najważniejszej, rozstrzygającej.

Przyszłość neoslawizmu zależy od tego, czy uda mu się sfery oficyalne rosyjskie odczepić od polityki pruskiej. Jeżeli dynastya

---

[1]) Neoslawizm można uważać za cząstkę programu *Świata Słowiańskiego*, tyczącą się stosunków polsko-rosyjskich. W innych sprawach słowiańskich neoslawizm całkiem jeszcze programu nie ma; zapewne będzie sobie przyswajać stopniowo program *Świata Słowiańskiego* i tak idea słowiańska stanie się polityką polską na rozszerzonym jej terenie. Prą do tego wszystkie okoliczności; będzie to vis maior, na którą nikt nie poradzi. A zresztą, czekajmy, czy pojawi się program inny?

rosyjska pozostanie niezmiennie ekspozyturą pruską na Rosyę i Słowiańszczyznę, w takim razie niema co marzyć o odrodzeniu Rosyi. Wpływy pruskie nie dopuszczą do tego, reakcya nie ustanie, czynownictwo wyprawi państwu niejedną jeszcze przygodę i na wewnątrz i na zewnątrz, finanse doprowadzi do bankructwa, armię do ostatecznego rozprzężenia, tak — że po dłużej trwającej opiece pruskiej państwo rosyjskie dojrzeje aż nazbyt dokładnie do tego, żeby się rozpaść.

Rosya odrodzić się może tylko wbrew Prusom i przeciw nim.

Sprzyjać odrodzeniu Rosyi nie mogą Prusy, choćby tylko ze względu na „neoslawizm", zwrócony wyraźnie przeciw sobie, ale mają do tego drugą jeszcze przyczynę: tylko rozpadająca się Rosya może posłużyć im na „Neudeutschland". Niema więc mowy o tem, żeby Prusy miały się przyczyniać w czemkolwiek do wzmocnienia potęgi Rosyi; mogą tylko wzmacniać w niej reakcyę, jako najlepszy sposób osłabienia państwa. Przyjaźń prusko-rosyjska jest komedyą polityczną taką samą, jaką było „kazionnoje sławjanofilstwo".

Prusy, czyhając na ostateczny upadek Rosyi, liczą na to, że ich potęga jest nienaruszalną, że ich państwowość nie może uledz wstrząśnieniu, że więc będą w możności — złupienia Rosyi. Liczą w tem niezawodnie na pomoc Austryi.

„Neudeutschland" — to przedewszystkiem równina nadwiślańska. Jest więc polski interes w tem, żeby Austryę nietylko wyłączyć od tych kombinacyi polityki pruskiej, ale upewnić się, że byłaby im przeciwną. W tem zgodni będą z nami wszyscy Słowianie i znów sprawa polska łączy się ściśle ze słowiańską. A chociażby w Rosyi wszystko działo się jak najgorzej, jednak samą siłą bezwładności może to imperyum stać bez porównania dłużej, niż potrzeba czasu na rozerwanie trójprzymierza!

Zmiana polityki zewnętrznej Austryi byłaby radykalną zmianą wszystkich stosunków w Europie — i w tem muszą się koncentrować dążenia polityczne polskie i słowiańskie.

Polityczny punkt ciężkości sprawy słowiańskiej przenosi się skutkiem tego na dłuższy czas z Rosyi do Austryi, wbrew powszechnemu mniemaniu. W Petersburgu natrafiła sprawa na punkt martwy (związek dynastyczny z Prusami), który da się poruszyć tylko via Wiedeń. Tu, w Austryi, jest prawdziwy warsztat tej roboty politycznej, a skutkiem tego mają też Słowianie austryaccy zapewnione przewodnie w idei słowiańskiej

stanowisko, jako faktyczni tej polityki i kierownicy i wykonawcy. Powodzenie neoslawizmu w Rosyi zależne jest niewolniczo od powodzenia polityki słowiańskiej w Austryi, podczas gdy niema zgoła wzajemnej zależności z drugiej strony.

Wiedeń zdecydowałby się na odstąpienie od sojuszu pruskiego, a na sojusz z Rosyą (Francyą, Anglią), w takim tylko razie, gdyby nabrał przekonania, że ruch słowiański nietylko nic grozi niczem Austryi, ale może przynieść korzyść dynastyi.

Polityka słowiańska może istotnie przyczynić się wielce do skonsolidowania państwa, obalając dualizm; wytworzyć następnie nowe siły w uwolnionem Trójjedynem Królestwie (jako zawiązku państwa jugosłowiańskiego); uczynić Austryę popularną nietylko w Bośni i Hercegowinie, ale nawet w Serbii. Można twierdzić, że nowy okres rozkwitu Habsburgów może nastać tylko przez przyjęcie polityki słowiańskiej; przyszłości — jeżeli się jej nie chce zmarnować — można szukać tylko tą drogą, a wejść na nią można tylko wbrew Berlinowi.

O politycznem ciążeniu Słowian austryackich ku Rosyi niema już mowy od dawna, a cóż dopiero obecnie. Trzebaby cudu, żeby Rosya w krótkim czasie tak się zmieniła, żeby tęsknił ktokolwiek za jej panowaniem!! Jeżeli odrodzenie Rosyi jest możliwe, wymaga ono pracy przynajmniej dwóch pokoleń i... sojuszu z Austryą.

Do tego sojuszu nie jest grunt przygotowany ani w Wiedniu, ani w Petersburgu. Rosyjscy neoslawiści nie zdają sobie wcale sprawy z tej kwestyi, a dzisiejsze sfery oficyalne wolałyby wraz z Prusami uderzyć na Austryę, gdyby to było wykonalne. Cichem marzeniem niedobitków „kazionnago sławjanofilstwa“, grupujących się około *Now. Wremieni*, jest wojna z Austryą, podczas gdy o sojuszu z Austryą nie myśli jeszcze żadna grupa polityczna rosyjska. W tej sprawie jest jeszcze wszystko do zrobienia, a Polacy powołani są z natury rzeczy do tego, żeby stanąć na czele tej akcyi.

Sprawa słowiańska wymaga ścisłego porozumienia Austryi z Rosyą i żaden z pobratymców nie będzie miał w tej sprawie najmniejszych wątpliwości. Sprawa zaś polska łączy się i tu ze słowiańską z następujących powodów:

Nie można wprawdzie ucisku Polaków pod zaborem rosyjskim tłumaczyć wyłącznie wpływem Berlina (jakby chcieli niektórzy neoslawiści), ale faktem jest, że Berlin podtrzymuje kie-

runek antypolski, ilekroć on słabnie i należy się domyślać, że istnieje nawet jakiś układ co do sprawy polskiej pomiędzy dynastyą rosyjską, a rządem pruskim. Usunięcie wpływów Berlina ze sfery stosunków polsko-rosyjskich byłoby bądźcobądź wielkiem dla nas ułatwieniem. W razie zastąpienia ich wpływami Austryi, nie dostalibyśmy wprawdzie autonomii politycznej, ale zwiększyłoby się znacznie prawdopodobieństwo otrzymania polskiego języka urzędowego, bo nietylko nie byłoby przeciwko temu przeszkód z zewnątrz, lecz raczej poparcie, tem silniejsze, im bardziej słowiańską stawałaby się Austrya i im większe byłyby nasze wpływy w niej. Wpływów tych przeceniać nie należy, dziś one nawet maleją. Podniosłyby się bardzo, gdyby sojusz z Rosyą stanął za naszym przewodem, a w takim razie we wpływach austryackich w Petersburgu byłyby też... wpływy polskie.

Dążenie do sojuszu Austryi z Rosyą jest jedynym sposobem niesienia pomocy rodakom po tamtej stronie kordonu.

Nowoczesne sojusze są układami polityczno-ekonomicznemi. Związek celny Austryi z Rosyą — to dalekie plany, a wymagające przedtem usunięcia wielu wątpliwości; ale w każdym razie nastąpiłoby ułatwienie wymiany płodów i towarów pomiędzy Galicyą a Kongresówką. Dziś wymiana ta niemal całkiem nie istnieje, co jest główną przyczyną nędzy Galicyi, a przemysł nasz i tu i tam czyni zawisłym od rynków odległych, a nie zawsze życzliwych.

A w końcu — sojusz austryacko-rosyjski, to usunięcie przeszkód do wspólnej pracy politycznej i kulturalnej Warszawy i Krakowa. Praca ta jest wprawdzie w toku i teraz, ale pracując z przeszkodami, tracimy dużo sił na usuwanie ich lub obchodzenie.

Zupełna wspólność interesów Słowiańszczyzny a Polski w tej dobie każe więc jąć się oburącz sprawy słowiańskiej, żeby jej użyć na nową dźwignię dla sprawy polskiej. Obecnie sprzeczności interesów niema nigdzie.

Czy zawsze tak będzie? — Zajmujmy się polityką słowiańską systematycznie i czynnie, nabądźmy jak największego znawstwa spraw słowiańskich, żeby nasze zdanie miało jak największą powagę, — a będą się z nami w Słowiańszczyźnie liczyć. Zajmijmy w prądzie słowiańskim stanowisko takie, że-

byśmy mogli dopilnować, żeby on niebył nigdy szkodliwy interesom polskim!

A mógłby być szkodliwy w takim tylko razie, gdybyśmy my sami lub też pobratymcy popełnili jaki błąd polityczny. — Naszą rzeczą pozostawać z nimi w stosunkach tego rodzaju, żeby mieć na nich wpływ. Terenem zaś praktycznej polityki słowiańskiej jest Austrya, gdzie mamy zupełną swobodę działania politycznego.

O ileby nie popełniono błędu politycznego, idea słowiańska — już wolnościowa — niema w sobie nic takiego, co mogłoby być niebezpiecznem dla Polski. Dążenie do tego olbrzymiego zrzeszenia politycznego umieszcza nas w samem jego centrum i zapewnia nam same tylko korzyści, nie grożąc żadną stratą.

Po sparaliżowaniu pruskiej przewagi albo otrzymamy od odradzającej się Rosyi całą pełnię praw narodowych i przystąpimy wraz Rosyanami do organizowania wspólnej polsko-rosyjskiej państwowości, albo też staniemy się politycznymi spadkobiercami nie mogącej się odrodzić Rosyi. Doprowadziwszy Austryę do ustroju federacyjnego, przeszczepi się go następnie na kraje i ludy czy to odrodzonego, czy też byłego imperyum rosyjskiego. Mając wpływ na losy obydwóch (sprzymierzonych) państw słowiańskich, będziemy mogli obmyśleć pokojowy sposób ostatecznego zniesienia granic rozbiorowych, przyłączając się wszyscy do jednej z federacyj, albo też (w razie upadku Rosyi) tworząc sami jednę z nich. Zanim następcy nasi doczekają się tego, granice Austryi zmienią się, może kilka razy, a dla domu Habsburskiego kwestya Galicyi będzie drugorzędną wobec innych, donioślejsze dla niego mających znaczenie i można sobie wyobrazić kombinacyę, że federacya austryacka odstąpiłaby dobrowolnie Galicyę za rekompensatę gdzieindziej. Ale można też snuć inne przypuszczenia. Jeżeli Rosya nie odrodzi się, jeżeli z imperyum rosyjskiego zostanie tylko tyle, ile zebrać i utrzymać zdoła Polska, może dom Habsburski sam starać się o zniesienie kordonów rozbiorowych, zmierzając przez Polskę do coraz większej świetności. Jaką drogą potoczą się losy Rosyi, zależeć będzie od tego, czy dynastya rosyjska znajdzie się na wysokości swego zadania; żeby społeczeństwo rosyjskie samo, bez względu na błędy polityki dworskiej, zdołało utrzymać imperyum, przypuścić trudno.

Wdałem się w tę sferę przypuszczeń tylko dlatego, żeby zaznaczając najszersze możliwe ich granice, okazać, że nietylko niema w nich miejsca na żadną ewentualność, którąby pogarszała położenie Polski, ale jest pewność poprawy na lepsze, a nawet możebność odzyskania niepodległości w tej czy owej formie i ciągłego dalszego wzmacniania polskości aż do takiego stopnia rozwoju, o jakim nie marzyli nawet Zamojscy, ani Żółkiewscy, wpatrzeni w sam tylko wschód. Ubezpieczmy się tylko od zachodu i tam skoncentrujmy nasze główne siły; troskę o wschód możemy pozostawić bezpiecznie następcom.

Niepodległość może być odzyskana w formie rozmaitej i niema absolutnie możliwości przewidzieć, która nastręczy się naszym dzieciom i którą wybiorą. To tylko pewna, że nie będzie nią forma roku 1772.

Przyczyna prosta: świat nie spał przez półtora blizko wieku; wszystko się zmieniło, a więc forma z roku 1772 nie da się już zastosować. Czyż, gdyby państwo polskie nie było przestało istnieć, miałoby dziś, a tem bardziej w roku np. 1950 lub później — formę z roku 1772?! Myśląc o przyszłości Polski, trzeba to uwzględniać, że idea państwowości polskiej musi być też zdolną do postępu i przystosować się do czasów, jeżeli niema stać się frazesem.

Sama idea niepodległości nie zda nam się na nic, jeżeli jej nie uzupełnimy pojęciem konkretnem ustroju państwowego (czy osobno, czy w państwie związkowem, wspólnem dwom lub więcej narodom) mającego istnieć w warunkach politycznych i ekonomicznych XX-go wieku, a nie XVIII-go!! Na tej pomyłce w rozumowaniu polegają obawy naszych przeciwników, że w idei słowiańskiej zatraci się idea niepodległości. Jaki zaś oni mają program (tj. sposoby polityczne) na odzyskiwanie i odzyskanie niepodległości — niewiadomo. Ale co to za politycy — bez programu?! [1]).

Dr. Feliks Koneczny.

---

[1]) por. w Kronice artykuł p. t. „Zarzuty przeciw *Światu Słowiańskiemu*".

WALKA O UNIWERSYTET
okazana na przykładzie czeskim.

Dzięki fałszywym pojęciom o stosunku państwa do społeczeństwa, o obowiązkach i prawach władzy wobec obywateli, dzięki wreszcie biurokratycznemu ustrojowi państwa — stała się kultura służką polityki, a bywa nieraz wręcz jej pomiotłem. Jedni pod pozorem dążeń kulturalnych robią politykę, inni w imię polityki tłumią postulaty kultury. Dzieje są to w państwach wielu, ale najwięcej przykładów dostarczyć może Austrya z powodu swej wielojęzyczności.

Obecnie toczy się walka o założenie czterech uniwersytetów: o drugi czeski (na Morawach), o ruski, słowieński i włoski. Z powodu sprawy o uniwersytet ruski, dotyczy nas ten temat bezpośrednio; nie będzie więc od rzeczy poznać bliżej, jak Czesi dostali uniwersytet, zwłaszcza, że przykład jest istotnie pouczający i dadzą się z niego wysnuć wnioski. Będzie to korzystaniem z cudzego doświadczenia, korzystnem i dla Polaków i dla Rusinów.

Sposobność nadarza się, dzięki pracy rektora praskiego uniwersytetu czeskiego, znanego naszym czytelnikom prof. Jarosława Golla[1]) — Rozdělení pražské university Karlo-Ferdinandovy roku 1882 a počátek samostatné university české (v Praze 1908, nákladem Klubu Historického, 8⁰, str. 151). Autor był profesorem jeszcze za dawnych czasów, zna więc dokładnie historyę całej sprawy, której sam pars fuit. Kiedy w 25 lat po zdobyciu czeskiego uniwersytetu przypadło prof. Gollowi być jego rektorem, słusznie zrobił, że wybrał na ten jubileusz na wykład inauguracyjny historyę starań i walk o uniwersytet. Wykład ten, miany 19 listopada 1907, wyszedł następnie drukiem, rozszerzony i zaopatrzony w źródłowe dodatki; stanowi piękną rozprawę historyczną.

Szkolnictwo austryackie stało się nowożytnem za Maryi Teresy i Józefa II. Postęp był istotnie znaczny — ale Czesi nie zawsze zyskiwali na postępowych reformach w państwie. Wiele z tego, „co stanowiło wobec poprzedniego okresu postęp wielki

---

[1]) Zob. osobny o nim artykuł w zeszycie z września 1906.

pod niejednym względem i szybki, stawało się największem niebezpieczeństwem dla naszego życia narodowego" — powiada Goll — i prawdę mówi, bo skoro szkoła stawała się od czasów Maryi Teresy „politicum", stawała się zarazem jakby prerogatywą posiadających siłę polityczną.

Uniwersytet praski przestawał być łacińskim, a stawał się niemieckim. Po czesku miało się wykładać tylko jeden „praktyczny" przedmiot na medycynie i teologię pastoralną, ale od r. 1843 już tylko same praktyczne ćwiczenia przy katedrze „pastorałki" odbywano po czesku, a w medycynie pozostawały dla języka czeskiego chyba tylko wykłady dla... akuszerek.

W r. 1793 udało się otrzymać rodzaj lektoratu języka i literatury czeskiej [1]) (wbrew centralnej dyrekcyi oświaty w Wiedniu), ale od r. 1832 wykłady i tego także przedmiotu odbywają się po niemiecku.

Żądanie w r. 1848 równouprawnienia językowego w uniwersytecie było „antycypacyą", jak tyle innych złudzeń owego roku. Bądźcobądź poczęło się przynajmniej utrakwizowanie uniwersytetu. Zajęli katedry F. L. Čelakovský, Hanuš, Vocel, Hanka, w r. 1851 Tomek. Około r. 1855 niewiele jednak zostaje z tego ruchu czeskiego w murach uniwersyteckich, a przykro wspomnieć, że Suchecki, profesor języka i literatury polskiej (od 1857) wykładał po polsku lub po... niemiecku, ale nigdy po czesku. Ale nawet czescy profesorowie poczynają wykładać po niemiecku. Zmniejsza się ilość słuchaczów na czeskich wykładach. Oto np. Frič miał na czeskim wykładzie przewodu sądowego w roku 1848/9 przeszło stu słuchaczów, a w r. 1854 wszystkiego razem sześciu. Patryotyzm czeski był bowiem niejako policyjnie zakazany; a były to czasy, kiedy nawet ministrowie znajdowali się pod dozorem policyi.

Po roku 1860 zaczyna się zwolna zmiana na lepsze. W r. 1861 ustanawia rząd dwie katedry prawnicze czeskie (jakkolwiek tylko nadzwyczajne), w r. 1862 wstępuje Randa, i coraz częściej korzystają rozmaici profesorowie z wolności wykładania po

---

[1]) Nauczycielami byli: Jan Nejedlý do roku 1831, František Ladislav Čelakovský 1836—1840 — Koubek 1840—1854 — poczem posady nie obsadzono, a wykłady przejął Hanka, oficyalnie docent języka starosłowiańskiego i rosyjskiego, dopiero w r. 1874 obsadzono ją na nowo (Gebauer).

niemiecku lub po czesku; niektórzy wykładają w obydwóch językach. Nawet medycyna poczyna się utrakwizować.

Odrzucenie petycyi czeskich lekarzy i studentów medycyny przez senat akademicki i rząd staje się przedmiotem obrad jest mowych w r. 1864. Debaty rozpoczął Edward Gregr, docent „fizyki lekarskiej", domagając się równouprawnienia wogóle, a w szczególności... dwóch czeskich katedr na wydziale lekarskim. Charakterystycznem jest, że wśród oponentów niemieckich jeden z nich, David Kuh, odpowiadając Riegrowi powiedział:

— „Skoro chcecie zupełnego równouprawnienia, nie żądajcież jednej lub dwóch katedr, ale w takim razie trzeba postawić przeciw uniwersytetowi lub obok niego — drugi uniwersytet" — i zakończył swą mowę rzeczywiście wnioskiem o założenie osobnego czeskiego uniwersytetu w Pradze — a Czesi zachowali się wobec tego wniosku niechętnie, uważając, że ani Kuh nie brał go na seryo, ani oni sami poważnie traktować go nie mogą.

Zakończono obrady rezolucyą, wzywającą rząd, „ażeby czeskie wykłady na wydziale lekarskim odpowiadały potrzebom kraju" — a wynik był taki, że rząd przyznał remuneracyę profesorowi medycyny sądowej za osobne czeskie wykłady.

Powtórna debata sejmowa, r. 1866, wywołała już demonstracye uliczne — bo tym razem Rieger domagał się katedr podwójnych do wszystkich przedmiotów, z których się zdaje egzaminy — i już na wszystkich wydziałach — a nadto zaprowadzenia czeskich egzaminów. Hr. Leon Thun, z którego imieniem łączy się tyle czeskiej pracy narodowej, uważał wtenczas za ideał, do którego dążyć należy, żeby przeprowadzić z całą konsekwencyą utrakwizm we wszystkich dziedzinach życia publicznego, żeby więc także młodzież obydwóch narodów kształciła się w obydwóch językach „krajowych", i nie pragnął wcale, żeby czeski student słuchał samych tylko czeskich wykładów.

„To było jego ideałem i to było jego złudzeniem: — dwujęzyczność obustronna, odpowiadająca najlepiej potrzebom kraju, zamieszkałego przez dwa narody, od których pokojowego współżycia zależy dobro i powodzenie kraju" — tak określa autor stanowisko Lwa Thuna, używając własnych jego wyrażeń.

Thun sformułował na miejsce wniosku Riegra wniosek własny, żeby profesor mógł wykładać, a uczeń słuchać wykła-

dów i zdawać egzamin, jak mu się podoba, po niemiecku lub po czesku, albo też w obydwóch językach. Referent niemiecki Hasner wolał żądać „rozdzielenia uniwersytetu na dwie połowy, wyodrębnione językowo (sprachlich gesonderte), ale nie chcieli tego ani Thun, ani Rieger. Niemcy bali się, że z czasem mogą się i niemieckie katedry dostać do rąk Czechów i dlatego parli sami coraz bardziej, żeby uniwersytet „rozdzielić“. Ale sejm 1866 roku przyjął rezolucyę Thuna. Wśród samychże profesorów czeskich jeden tylko Purkyně uważał przeprowadzenie równouprawnienia za środek do osiągnięcia osobnego czeskiego uniwersytetu (on też pierwszy przewidywał, że narodowi czeskiemu nie wystarczy jeden uniwersytet).

Senat akademicki w opinii przesłanej ministerstwu z początkiem 1868 roku okazał najzupełniej dobrą wolę; przyznał Czechom wszystko, czego sami wówczas pragnęli, przystał nawet na kollokwia habilitacyjne czeskie. Ale rząd nie miał dobrej woli. Po wojnie pruskiej nastały zmiany polityczne, dla Czechów bardzo niekorzystne, a do tego przyjęty przez nich system opozycyi biernej i absencyi dał się srodze we znaki szkolnictwu czeskiemu, wzbudzając nienawiść biurokracyi do wszystkiego, co czeskie. Poprawiły się stosunki za ministerstw Potockiego i Hohenwarta i wtenczas przybywa w uniwersytecie wykładów czeskich.

Ministrem oświaty w gabinecie Hohenwarta został Czech, Józef Jireček. „Robiło się plany na przyszłość, ale nie było wśród nich samoistnego czeskiego uniwersytetu. Głównym doradcą Jirečka w sprawie uniwersyteckiej był Tomek. Jak opowiada w swych pamiętnikach, był powołany do Wiednia, gdzie w lipcu 1871 opracował wniosek, na który Jireček zgadzał się, a podług którego uniwersytet pozostawał instytucyą wspólną dla Czechów i Niemców, ale wydziały miały być rozdzielone w ten sposób na osobne czeskie i osobne niemieckie, żeby każdy mógł się samodzielnie starać o uzupełnianie swych sił naukowych“ (t. z. wydziały równoległe). A więc ani za czasów Hohenwarta, ani mając własnego ministra oświaty, nie myśleli Czesi o własnym, osobnym uniwersytecie! A nie osięgnęli ani nawet rozdzielenia wydziałów; nie zdobyli wtenczas wogóle niczego.

Zacytujemy w tem miejscu uwagę, którą autor robi na samym wstępie książki:

„Nie dostaliśmy uniwersytetu wtedy, kiedy nasz program polityczny niemal się uskuteczniał — za ministerstwa Hohenwarta; otrzymaliśmy go dopiero za czasów, gdy odstępując od bierności politycznej, zdecydowaliśmy się nareszcie — poddać się konsekwencyom klęski politycznej. Czyż nie przejawia się w tem jakaś nielogiczność dziejów?“

A jeszcze przedtem robi prof. Goll taką uwagę:

„Przeglądając dzieje narodu czeskiego od drugiej połowy XVIII wieku, znachodzi się w nich pewną nieharmonijność. Żaden z programów politycznych, których szereg zaczyna się od r. 1848, nie spełnił się, chociaż wszystkie przyznawały państwu pełną ręką to, czego państwo wymagało dla siebie; natomiast od początku owego okresu, który zowiemy swem przebudzeniem narodowem i odrodzeniem, spotyka się w kierunku naznaczonym przez te wyrazy ruch, który wstrzymywał się wprawdzie czasem, jednakże uwzględniając to, co mamy dziś, godzi się nazwać go postępem“.

Czyli mówiąc wyraźnie: Czechom darzyło się w kulturze — nie powodziło się w polityce. „Nieharmonijność“ i „nielogiczność“ tych dziejów tłumaczy się — naszem zdaniem — pewną nieharmonijnością charakteru czeskiego: Czech jest dzielny, gdy może działać bezwzględnie [1]), kiedy powodzenie zależy od jego osobistych przymiotów; traci głowę, gdy ma się liczyć ze względami, pochodzącemi z zewnątrz, i dlatego słabym jest w polityce, gdzie zachodzi największa komplikacya najrozmaitszych względów.

Wracajmy do ścisłego tematu. Ogłosiwszy „artykuły fundamentalne“ przyprawili Czesi sami gabinet Hohenwarta o upadek. Po kilkomiesięcznych rządach Jirečka nastąpiły kilkoletnie Stremayera. Dla czeszczyzny robiło się tylko to, od czego już żadną miarą nie można się było wykręcić.

W r. 1872 uchwaliła praska Rada miejska na wniosek A. Ot. Zeithammera petycyę o równouprawnienie w uniwersytecie albo też o rozdzielenie go na niemiecki i czeski. Już więc przewidywano, że zupełne równouprawnienie nie da się przeprowadzić w jednym wspólnym uniwersytecie. Petycyę tę powtórzono w wielu miastach czeskich i wogóle stała się ona wzorem

[1]) Użyłem tego wyrazu w znaczeniu psychologicznem, nie etycznem (gdzie ma w języku polskim znaczenie ujemne). Wykształcenie etyczne stoi owszem wśród Czechów wysoko.

dla licznych petycyj do sejmu, które gromadziły się z roku na rok w Wydziale krajowym aż do r. 1876. Na sesyę owego roku przygotował Wydział krajowy wniosek, ażeby przejść nad niemi ryczałtem do porządku dziennego. Staroczesi trzymali się ciągle jeszcze polityki absencyi, a młodoczechów było niewielu; czeskie głosy mało więc ważyły w Izbie. Ale wniosek Wydziału krajowego wydał się jednak samym Niemcom za zuchwałym. Większość komisyi postanowiła odstąpić petycye rządowi, nie wydając o nich żadnej opinii. Czeska mniejszość (referent Trojan) oświadczyła zaś, że „pozostawia rządowi rozstrzygnięcie, w jaki sposób lepiej uczynić zadość czeskim potrzebom, czy w jednym wspólnym uniwersytecie (czemu sama ta mniejszość dałaby pierwszeństwo), czy też zakładając uniwersytet nowy".

Nadeszły czasy Taaffego. „O ministerstwie Taaffego sądzi się teraz u nas na ogół przyjaźniej, niż się częstokroć sądziło, póki ono trwało. Jedną z przyczyn jest to, żeśmy wtedy otrzymali uniwersytet. Kiedy sobie uprzytomnimy, jaką drogą doszliśmy wreszcie do tego celu, trzeba będzie ten sąd poddać rewizyi. Rozwiązanie sprawy uniwersytetu praskiego za ministerstwa Taaffego oznacza raczej koncesyę dla Niemców, niż dla nas. Taaffe zdołał i w tej rzeczy rządzić przeciw własnemu stronnictwu w parlamencie". — Temi słowy zagaja prof. Goll rozdział o tych czasach.

Zrywając z polityką absencyi, wstępując do Rady Państwa, zaznaczyli posłowie czescy swoje żądania, wśród których ustanowienia uniwersytetu czeskiego znowu — nie było. Memorandum posłów czeskich z r. 1879 opierało się na nowo na zasadach wniosku Riegra z roku 1866. Na memoryał ten odpowiedziała większość (nie wszyscy) niemieckich profesorów i docentów filozofii i medycyny natychmiast, bo jeszcze również z końcem r. 1879 memoryałem do ministerstwa oświaty, wywodząc w nim, że interesy nauki i państwa wymagają, żeby uniwersytet pozostał wyłącznie niemieckim, a jeżeli się już ma uwzględniać żądania czeskie, lepiej założyć osobny czeski uniwersytet. Posłużyło to za podstawę memoryałowi, jaki niemieccy posłowie z Czech (tak sejmowi jakoteż parlamentarni) przedstawili cesarzowi z początkiem lutego 1880. Gdy memoryał niemieckich profesorów dostał się do wiadomości publicznej, odpowiedzieli nań czescy profesorowie filozofii i medycyny ze swej strony memoryałem z 18 lutego, w którym powracają do planu Tomka z roku 1871 —

ale już tylko jako do prowizoryum. Nastąpiły jeszcze dwie petycye praskiego senatu akademickiego (do Izby poselskiej i wyższej), a zaraz potem petycye senatów z Wiednia, Gradca, Insbruku i z Czerniowiec, żeby zaniechać dalszego utrakwizowania, a przystąpić do rozdzielenia uniwersytetu na dwa.

Rozolucya Jirečka, przyjęta w Radzie Państwa w kwietniu 1880 większością 163 głosów przeciw 147, wzywała tylko rząd, żeby jak najprędzej uczynił zadość uprawnionym żądaniom narodu czeskiego w uniwersytecie praskim. Wartość wniosku sformułowanego w ten sposób zależała od woli rządu, co zechce uważać za „uprawnione". Ilość czeskich wykładów powiększała się w ostatnich latach tylko dzięki ofiarności bezpłatnych docentów, a jeżeli za rządów Taaffego „działo się coś na naszą korzyść, występuje to zawsze jako nagroda za posłuszeństwo polityczne, podobnież jak nieprzyjazny stan dawniejszy był karą za nieposłuszeństwo. Z tego wyrosły tradycye, które nie zanikły ani dzisiaj. Było widocznem, że musi się spróbować rozwiązać kwestyę uniwersytecką na innej podstawie".

Upierano się długo przy żądaniu uprawnienia w jednym uniwersytecie, a więc ścisłej i wszechstronnej utrakwizacyi. Robiono to w imię dobra kraju, obejmującego dwie narodowości, sądząc, że z tak zutrakwizowanego uniwersytetu spłynie porozumienie narodowe na inne dziedziny publicznego życia, a mając też na względzie potrzeby praktyczne urzędów publicznych, żeby każdy prawnik czy profesor mógł się kształcić naukowo w obydwóch językach [1]).

„Dziś, patrząc w tył po przeszło 25 latach, nie możemy pozbyć się wrażenia, że plan ten był... utopią". Niewykonalny był choćby tylko ze względów technicznych, a cóż dopiero, skoro niemieccy profesorowię, a więc większość uniwersytetu, nie życzyła sobie wykonania go. Dalsza utrakwizacya uniwersytetu sprowadzałaby coraz więcej kłopotów na obie strony, a gdyby ją przeprowadzić z całą konsekwencyą — musiałaby w końcu dać przewagę mogącym wykładać w obydwóch językach, a więc Czechom.

Nie znając języka czeskiego, nie mogliby Niemcy bywać

---

[1]) W r. 1866 wyszła ustawa sejmowa zaprowadzająca obowiązkową naukę obydwóch języków „krajowych" we wszystkich szkołach średnich — ale już w dwa lata później zniesiono ten przepis. (Niemcy posiadali wówczas w sejmie większość).

przy czeskich habilitacyach, a nawet — ani być dziekanami (bo dziekan przewodniczy i głosuje przy rygorozach). A chcąc utrzymać jednaki stosunek głosów w collegiach, trzebaby zawsze mianować profesorów parami; każdy docent musiałby czekać, ażby mógł dostać równocześnie kolegę tamtej narodowości — i podobnych absurdów nasuwałoby się coraz więcej [1]).

Rząd przyjął ostatecznie program niemiecki. „Czy nie mieliśmy prawa powiedzieć, że gabinet Taaffego rozwiązał sprawę uniwersytecką w zasadzie w myśl wniosków niemieckich? A jednak nie byłbym skłonny nazwać tego rozwiązania — porażką. Byłoby to porażką, gdybyśmy byli zachowali pierwsze nasze stanowisko, negatywne, jakie zajmowali nasi posłowie na sejmach lat 1864 i 1866. W polityce naszej powtarzał się częściej błąd ten, żeśmy sami związali sobie ręce przedwczesnem: nigdy! lub ogłaszali przedwcześnie swą conditio sine qua non... Tego błędu ustrzegliśmy się w sprawie uniwersyteckiej przynajmniej do pewnego stopnia".

Zaczęła się nowa faza, w której kierownikiem czeskim stał się profesor Kvičala, wybrany posłem do parlamentu w mieście Litomyszlu na życzenie czeskich kół uniwersyteckich.

Dnia 11. kwietnia 1881 wyszło „najwyższe postanowienie" (allerhöchster Entschluss), nakazujące urządzić (einrichten) uniwersytet praski w ten sposób, żeby na przyszłość były w Pradze dwa uniwersytety, niemiecki i czeski, a obydwa jako Carolo-Ferdinandeum, a więc jako kontynuacya dotychczasowego uniwersytetu. Rozdział uniwersytetu był od początku żądaniem niemieckiem, ale wyobrażali sobie, że gdy skutkiem rozdziału powstanie w końcu osobny uniwersytet czeski, będzie uważany za zakład całkiem nowy, nie mający „kontynuacyi prawnej" ze starym. Tę „kontynuacyjność" (ważną i ze względu na fundacye, instytucye itp.) ocalili Czesi dla siebie — ale tylko teoretycznie.

---

[1]) W ostatnich latach każda nominacya profesora stawała się politicum, bo musiała wychodzić na korzyść jednego, a niekorzyść drugiego „stanu posiadania". Toteż rząd obsadzał katedry tylko o tyle, o ile to mógł robić parami, mianując Niemca i Czecha równocześnie. Ustalono w ten sposób niekorzystny dla Czechów stan rzeczy: profesorów i docentów niemieckich było 65, czeskich 23, jakkolwiek większość studentów była czeska. Językiem urzędowym senatu i gron profesorskich był niemiecki. Tylko odezwy i ogłoszenia dla młodzieży miały być w myśl rozporządzenia ministeryalnego jeszcze z r. 1869 wydawane w obydwóch językach, albo też po łacinie.

Nastał spór pomiędzy rządem a parlamentem o kompetencyę zakładania i urządzania nowych uniwersytetów w ogóle. Rząd ustąpił, jakkolwiek zastrzegając się, że ma to być tylko wyjątkiem od reguły, która nie przestaje obowiązywać w zasadzie. Sprawa dostała się więc przed Izby parlamentarne nietylko co do finansowej strony.

Próbowano jeszcze ocalić choć coś z programu Tomka. Do przedłożenia rządowego dostało się postanowienie, że student może być zapisany na obydwa uniwersytety, na jeden jako uczeń zwyczajny, na drugi — jako nadzwyczajny.

Komisya szkolna Izby poselskiej dodała postanowienie, że profesor lub docent może być członkiem tylko jednego z uniwersytetów. Zapobiegano w ten sposób możliwości zajmowania katedr niemieckich przez Czechów.

W maju 1881 zażądało ministerstwo oświaty kredytów na urządzenie czeskich wydziałów filozoficznego i prawniczego. Żądano kwot bajecznie.... małych: na płace nowych profesorów i asystentów 9000 złr., a na adaptacyę budowli, na pierwsze urządzenia gabinetów i laboratoryum fizycznego, chemicznego, botanicznego i mineralogicznego — wszystkiego razem 14000 złr. Z taką „wyprawą“ wszedł w świat czeski wydział filozoficzny!

„Stara Alma mater pozostawiła po sobie dwie córy: jednę, uniwersalną dziedziczkę co do wyposażenia naukowego, — druga nie miała otrzymać ani nawet należnego sobie działu“.

Otrzymano uniwersytet, ale dawano go „ręką zimną a skąpą“. Zarzut tyczy się bardziej ministerstwa finansów, niż ministerstwa oświaty. Słuszną uwagę robi czeski rektor, że zdałoby się austryackiemu ministerstwu oświaty trochę więcej samodzielności wobec tamtego, a zwłaszcza zdałoby się przeprowadzenia pojęcia „konieczności kulturalnych“. Święta prawda — niestety — że ponad ministerstwem oświaty jest zwierzchniczą władzą, właściwie ministerstwo finansów, a nie ma ono dobrej opinii u uniwersytetów! Dodajmy od siebie, że biura ministerstwa finansów mogą pod p o z o r e m oszczędności uprawiać politykę, jaką im się podoba, a czasem może zachodzić między ministerstwami „podział pracy“ w ten sposób, że minister np. oświaty — chcąc, ale nie mogąc odmówić czegoś — przyrzeknie, a tylko postara się, żeby w ministerstwie finansów ubić sprawę...

Załatwiono się ostatecznie w Izbie poselskiej, ale Izba Panów tak przewlekała sprawę, że jeszcze na jeden rok szkolny musiało

pozostać wszystko po staremu. Dopiero 28 lutego 1882 mogła nastąpić sankcya uchwał parlamentarnych, potrzebnych do wykonania „najwyższego postanowienia“.

Nareszcie mieli Czesi własny uniwersytet. „Radość z powodzenia sprawy nie zrobiła nas zuchwałymi, lecz skromnymi“. — Rzeczywiście dowodów na to dali Czesi sporo.

Okazało się to w sprawie zakładów uniwersyteckich. Pozostawiono je Niemcom, obiecując Czechom wystawić nowe. Długie, długie lata wypadło potem czekać na spełnienie obietnicy. Drobne, licho uposażone instytuty[1]) miały stanowić przez długi czas cały arsenał naukowy czeskiego uniwersytetu.

Biblioteka pozostała i jest dotychczas wspólną; podobnież archiwum (tylko akty osobiste czeskich profesorów przydzielono w r. 1892 czeskim wydziałom).

Przy rozdziale gmachów chcieli Niemcy dać Czechom Clementinum, a sobie zachować Carolinum. Ale Carolinum miało nietylko pretium affectionis; ze sprawą posiadania głównego historycznego gmachu uniwersyteckiego łączyła się kwestya „kontynualności“. Trzymano się więc twardo i nastąpił rozdział skrzydeł i ubikacyj w obydwóch gmachach, ze wspólnością auli w Carolinum.

Niemcy (wniosek Ungra) byliby woleli, żeby dla czeskiego uniwersytetu wystawić gmach nowy. „Może będą się kiedyś dziwić nam, obydwom uniwersytetom, że nie skorzystaliśmy z tej sposobności i nie żądaliśmy nowych budowli dla obydwóch, dla czeskiego i niemieckiego? Dojrzeliśmy do takiego żądania dopiero po 20 latach... Dlaczego tak późno? My, uniwersytety, jesteśmy w wielu rzeczach konserwatystami; stare budowle bywały i gdzieindziej w użyciu tak długo, aż czasem groziły już upadkiem“. A nawiązując do złego wogóle umieszczenia uniwersytetów, dodaje rektor Goll uwagę: „My, uniwersytety, doganiamy właściwie tylko szkoły inne“.

---

[1]) Co do seminaryów robi rektor Goll uwagę, której sarkazm może być nietylko dla czeskiego uniwersytetu „aktualnym“:

„Seminarya różnią się od instytutów tem, że nakład na ich założenie i utrzymywanie jest daleko mniejszy, a nawet zgoła nieznaczny wobec kosztów instytutów. Utarły się już pewne tradycye co do tego. Jeżeli się tworzy jaki nowy zakład, a nie można go już zrobić instytutem, radziłbym wybrać jaką inną nazwę, (nie: seminaryum), a snadnie przyznają i więcej na początek i wyższą dotacyę roczną na przyszłość“...

Uniwersytet czeski nie miał być traktowany, jako nowy, lecz na równi z niemieckim, jako kontynuacya uniwersytetu Karola IV.

A jednak profesorów wykładających po czesku poprzekazywano osobnemi dekretami uniwersytetowi czeskiemu; przy niemieckich atoli zaniechano podobnego przekazywania niemieckiemu uniwersytetowi, jakkolwiek uniwersytet wyłącznie niemiecki był również nowym, jak wyłącznie czeski.

Rektor i dziekanowie roku 1881/2 byli w r. 1882/3 prorektorem i prodziekanami niemieckiego uniwersytetu, podczas gdy na czeskim wybierano pierwszego roku prorektora i prodziekanów. Właściwie powinien był prorektor installować obydwóch rektorów, ale prorektor nie chciał uważać się za wspólnego obydwom uniwersytetom. Czesi żądali natenczas, żeby komisarz rządowy installował obydwóch rektorów, ale installował on tylko czeskiego rektora, podczas gdy niemieckiemu oddawał insignia prorektor.

Stare insygnia zostały przy niemieckim uniwersytecie, bo senat niemiecki nie chciał ich żadną miarą użyczyć na uroczystość w czeskim uniwersytecie; żeby nie wytwarzać nowych „trudności“, poprzestali „skromni z radości“ Czesi na sprawieniu nowych insygniów.

Rząd wniósł zaraz na początku pierwszego posiedzenia sejmu przedłożenie, nadające głos wirylny obydwom rektorom. Wymagał zmiany tekst ustawy, mówiącej dotychczas tylko o jednym rektorze „uniwersytetu praskiego“. Tym rektorem nie był właściwie żaden z obecnych rektorów, bo żaden z nich nie reprezentował całego „Carolo-Ferdinandeum“. Obydwa uniwersytety zawiadomiły marszałka krajowego — był nim naonczas ks. Karol Auersperg—o wyborze rektora; było więc rzeczą marszałka i Wydziału krajowego nie zapraszać na posiedzenia sejmowe na razie żadnego z dwóch rektorów, a ustawę nadającą krzesła poselskie obydwom wnieść do sejmu samemu. Marszałek zaprosił natomiast rektora niemieckiego, — który też brał udział zaraz w pierwszem posiedzeniu — a czeski uniwersytet ignorował po prostu i to do tego stopnia, że zawiadomił Izbę sejmową tylko o wyborze rektora niemieckiego, a o czeskim przemilczał zupełnie, — tak, że wprowadzeniem czeskiego rektora do sejmu królestwa czeskiego musiał się zająć rząd.

Nierówne traktowanie obydwóch uniwersytetów okazało się jeszcze w sprawie językowej przy egzaminach prawniczych. Najwyższe postanowienie z dnia 11 kwietnia 1881 polecało rządowi urządzić egzaminy państwowe w ten sposób, że dawały rękojmię, że żaden z czeskich studentów nie wstąpi do służby publicznej bez dokładnej znajomości języka niemieckiego i biegłego władania nim. Ale nie było żadnych tego rodzaju zastrzeżeń na rzecz języka czeskiego u studentów niemieckich!

Rozporządzenie ministeryalne z 29 czerwca 1882 postanawia, że prawnicy praskich uniwersytetów mogą zdawać egzaminy albo wyłącznie po niemiecku, albo też w obydwóch językach. Niemiecki student może więc nie zdawać po czesku, czeski musi zdawać także po niemiecku przynajmniej z jednego przedmiotu i to w ten sposób, że choćby ten przedmiot zdał jak najlepiej rzeczowo, musi być reprobowanym, jeżeli nie wykaże należytej biegłości w niemczyźnie. Wydano jeszcze specyalną instrukcyę, nakazującą surowe przestrzeganie tego przepisu. W r. 1889 zniesiono niemczyznę przynajmniej przy pierwszym egzaminie państwowym [1]).

Wydział prawniczy liczył z początkiem roku 1882/3 pięciu profesorów zwyczajnych, pięciu nadzwyczajnych i dwóch docentów. Z początkiem roku 1907/8 podniosły się te liczby na 12, 4 i 12.

Na czeskim wydziale filozoficznym było z początkiem roku 1882/3 — 14 profesorów zwyczajnych, 7 nadzwyczajnych i 10 docentów. Na początku roku 1907/8 było ich 28, 13,30.

Wydział teologiczny pozostał nierozdzielony aż do śmierci kardynała praskiego Schwarzenberga, który był temu przeciwny. Dopiero od r. 1891/2 posiada uniwersytet czeski także teologię.

Rozdział wydziału medycznego miał nastąpić według rezolucyi komisyi szkolnej Izby poselskiej z początkiem roku 1883/4. Rząd zwlekał i trzeba było ponownej rezolucyi w marcu 1883 i dodatkowego „kredytu“, bo rząd nie wstawił tej pozycyi w budżet. Wykładających po czesku profesorów i docentów medycyny było zaledwie sześciu; trzeba było z poza Pragi zebrać siły nauczy-

[1]) Rozporządzenia Badeniego z r. 1897 nakazywały wszystkim urzędnikom rządowym w Czechach znawstwo obydwóch języków i wymagały na to egzaminu — ale przepis ten upadł wraz z Badenim i dziś ma się ta rzecz tak samo, jak w r. 1882. „Stoimy dotychczas wobec pytania, jak pogodzić jednojęzyczne szkoły z wymaganiem dwujęzyczności u urzędników“ — powiada rektor Goll.

cielskie. W pierwszym semestrze 1883/4 miał czeski wydział medyczny profesorów zwyczajnych 5, nadzwyczajnych 3, dwóch suplentów i 2 docentów. Do początku roku 1907/8 wzrosły te liczby do 16, 15, 24.

Aktywowanie czeskiego wydziału lekarskiego w r. 1883/4 było tedy „czynem dosyć odważnym“, zwłaszcza, że budynek nie był wykończony i trzeba było dopiero urządzać zakłady takie, jak anatomiczny i dla patologii eksperymentalnej, a więc niezbędne. Dziś ma zakładów 9, ale umieszczonych „prowizorycznie“.

* * *

Taką jest historya powstania pierwszego uniwersytetu czeskiego. Jest ona dla nas pouczającą, zwłaszcza gdy ją sobie zrekapitulujemy, myśląc o stosunkach w uniwersytecie lwowskim i o żądaniu założenia uniwersytetu ruskiego.

Przedewszystkiem stwierdzić należy, że przez cały czas walki o uniwersytet nie zrobili Czesi ani jednego kroku takiego, któryby zmniejszał szacunek dla nich; przeciwnie, postępowaniem swem zmusili do szacunku nawet zażartych nieprzyjaciół. Nie robili też nic takiego, co mogłoby życzliwych do nich zrazić, zniechęcić. Metoda walki była zawsze godna przedmiotu walki, co najlepszem jest kryteryum, czy społeczeństwo dojrzało do tego, czego pożąda.

Czesi nie nadużywali sprawy uniwersyteckiej do agitacyi politycznej, traktując rzecz zawsze z należytą powagą; toteż wierzono im od samego początku, że im naprawdę rozchodzi się o uniwersytet, a nie o co innego pod pozorem uniwersytetu. Spoczywał też kierunek sprawy w ręku profesorów, a nie młodzieży; nawet politycy (posłowie i publicyści) stosowali się tylko do tonu, jaki sprawie nadawali przedstawiciele czeskiej nauki.

Nie można się opędzić pewnym mimowolnym porównaniom... ale nasuwające się z tego wnioski, mając wartość dla dziejów kultury, nie nadawałyby się do argumentacyi politycznej. Nie trzeba mięszać jednego z drugiem.

Gdziekolwiek dwa społeczeństwa przystępują do współzawodnictwa, zawsze powstanie w silniejszem opozycya przeciw dostarczaniu słabszemu środków do wzmożenia się. Jest rzeczą słabszych dbać o to, żeby opozycyi tej nie podsycać, żeby się nie stała powszechną. U nas opozycya przeciw ruskiemu uniwersytetowi była tak słabą, jak nigdzie nie bywało w podobnem

położeniu. Rusini sami ją wzmogli, dając swem postępowaniem ostrzeżenie polskiemu ogółowi, żeby się miał na baczności przed dalszym rozwojem ukrainofilskiego sposobu traktowania życia publicznego.

Sprawa uniwersytecka jest chroniczną sprawą austryacką i ma już niejako swoją rutynę. Pewne epizody zwykły się powtarzać. Do takich „refrainów“ należy argumentacya, że strona domagająca się uniwersytetu nie posiada do tego warunków rzeczowych (dostatecznego ruchu naukowego, osób i książek i t. p.). Było tak i w Pradze. Opozycya twierdziła, że język czeski nie wyrobiony należycie, że nie stanie im profesorów, że studyum i tak nie będzie się mogło oprzeć o czeską literaturę naukową i t. p. — Mąż tej miary, co profesor Goll, zdolny spojrzeć na rzecz z ogólniejszego stanowiska i patrzeć objektywnie — zwłaszcza, że walka skończona od lat 25 — tak o tem dzisiaj sądzi:

Niemcy wymagali od Czechów więcej, niż dozwalała sprawiedliwość, żądając do założenia uniwersytetu takiego rozwoju nauki czeskiej, żeby studyum mogło się na niej oprzeć. Nie może być mowy o uniwersytecie, gdzie niema zgoła piśmiennictwa naukowego, bo uniwersytet nie może wytwarzać go od samych początków; ale też z drugiej strony nie może się ono rozwinąć bez uniwersytetu. Jedno z drugiem się wikła we wzajemnej zależności. Nauka musi być przed uniwersytetem, lecz musi go posiąść, aby się rozwinąć.

W całej pełni wykazuje historya powstania czeskiego uniwersytetu, że utrakwizowanie nie wiedzie do niczego, jak tylko do coraz większych trudności i wzajemnych przykrości. Chociażby nawet program taki w pewnych okolicznościach (jak było w Czechach) dał się usprawiedliwić teoretycznie, — wszystko na nic, skoro praktycznie jest absolutnie niewykonalnym.

Niema u nas obawy, żeby Rusini mieli pozajmować polskie katedry; przeciwnie, gdyby przeprowadzić we Lwowie konsekwentnie „równoległość“, moglibyśmy polskiemi siłami naukowemi obsadzać katedry ruskie, ileby nam się podobało. O język bowiem wykładowy chodzi formalnie, a nie o narodowość profesora. Stosunek jednego a drugiego ruchu naukowego jest bądźcobądź we Lwowie korzystniejszy dla nas, niż był w Pradze dla Niemców. Niewiele pracy potrzeba Polakowi, żeby posiadł język ruski gruntownie i łatwo sobie wyobrazić sy-

tuacyę bez wyjścia dla Rusinów, gdyby ich świat naukowy musiał współubiegać się o katedry z naszym, już wyrobionym. Jeżeli więc Czesi musieli zarzucić hasło utrakwizmu, Rusini tem bardziej nie powinni go podnosić. Jedynym sposobem rozwiązania kwestyi uniwersyteckiej we wschodniej Galicyi jest założenie osobnego uniwersytetu dla Rusinów. Jaki miałby w nim być język wykładowy, ruski czy rosyjski, to już ich sprawą wewnętrzną, w którą nie wypada nam się wcale wdawać.

Nie wypada też wdawać się jeszcze w coś innego. Potrzeba w Austryi czterech nowych uniwersytetów: drugiego czeskiego, słowieńskiego, ruskiego i włoskiego. Który najpilniejszy? Kto posiada najwięcej danych rzeczowych na usprawiedliwienie swego żądania? W jakiej kolei ma je rząd założyć, jeżeli każdy z nich nie ma czekać, ażby mogły powstać wszystkie cztery równocześnie, (żeby nikomu nie była krzywda) — t. j. w niedającej się przewidywać przyszłości? Nie naszą rzeczą badać te rzeczy. Do nas należy nie oponować przeciw ruskiemu uniwersytetowi, gdy rząd wystąpi z wnioskiem o założenie go; porozumieć się zaś z rządem, z Czechami, ze Słowieńcami i z Włochami, to rzecz Rusinów, która może być dla nich dobrą szkołą pozytywnej polityki. Nie moglibyśmy sprzeciwiać się założeniu uniwersytetu słowieńskiego lub drugiego czeskiego dlatego, że niema jeszcze ruskiego; nie mogliby tego zrobić sami nawet Rusini.

ODGŁOSY Z SŁOWACZYZNY.

Z plemion słowiańskich są nam niezawodnie najbliżsi Słowacy. W prawieku tworzyli wraz z późniejszymi Małopolanami razem „Białą Chrobacyę", jakoteż państwo Wielkomorawskie, po którego upadku przeszli wraz z Krakowem i Śląskiem pod panowanie czeskie, około zaś połowy X wieku wcieleni zostali do Polski wraz z Morawami, należąc do państwa pierwszych Piastów mniej więcej do połowy XI wieku, podczas gdy Ruś zakarpacka (dzisiejsze komitaty Szarosz, Zemplin i Abau) dostały się dopiero z końcem XII w. do Węgier, jak wogóle podbój Słowaczyzny przez Węgrów uświęcony został dopiero pokojem zawartym w Starej Wsi w r. 1192. Rzeka Wag stanowiła później, już po utracie Słowaczyzny, w komitatach: trenczyńskim i orawskim, granicę mię-

dzy Polską a Węgrami do XIV w., Spiż zaś, dostawszy się Węgrom jako wiano, dane przez Bolesława Krzywoustego swej córce Judycie Świętosławie, wydanej za Borysa, królewicza węgierskiego, przyłączony pod koniec XII w. formalnie do Węgier, wrócił następnie tytułem zastawu za czasów Władysława Jagiełły do Polski i został dopiero bezpośrednio przed pierwszym rozbiorem Polski zabrany przez cesarzowę Maryę Teresę, wraz z okręgiem podolinieckim, stanowiącym część Sądecczyzny, który mniej więcej tylko przez półtora wieku, od XIV w. do zastawy Spiżu, znajdował się w władaniu Węgier.

Rzekę Wag, jako graniczną między Polską a Węgrami, znaczy cały szereg węgierskich obronnych zamków, położonych na prawym jej brzegu, jako to: Trenczyn, Beckow, Ilawa, Koszuca, Hryczów, Ljetawa, Streczno i inne. Z tych zamków zapuszczali Węgrzy zagony na lewy brzeg Wagu, w posiadłości polskie, które łupieżyli i przywłaszczali sobie, gdzie na terytoryum na lewym brzegu Wagu, później spornem, budowali warowne zamki, jak: Sucza, Werszatec, Lednica, Podhrady, Bytcza, Stary Hrad i inne, które służąc im za podstawę operacyjną, przyczyniały się niepoślednio do posuwania zaborów coraz bardziej na północ.

Orawa, z wyjątkiem zamku orawskiego, który już przedtem należał do Węgier, była do w. XIV posiadłością polską. Dopiero w latach 1313—1315 zabrał ją Mateusz Czak, „książę trenczyński“, przemocą księciu cieszyńskiemu Mieszkowi III, jego synowi Kazimierzowi II i księciu oświęcimskiemu Władysławowi. W r. 1395 panuje na Orawie, jako wojewoda, książę opolski. Później występuje tamże, również jako wojewoda, Piotr Korczuk Komorowski, „hrabia orawski i liptowski“, który nadto włada zamkami: Likawą, Hradkiem, Rużomborkiem, Swatym Mikułaszem Liptowskim, Starym Hradem, Żabicami i Sklabiną. Następcą jego zostaje syn Mikołaj. Maciej Korwin odebrał ostatniemu zamek orawski, który król Jan Zapolja z kilkoma sąsiednimi zamkami nadaje w r. 1530 Janowi Kostce Siedleckiemu. Następnie włada zamkiem orawskim Jan Dubowski, po którego śmierci Orawa przechodzi na skarb królewski, który ją znowu sprzedaje Wacławowi Kostce Siedleckiemu bratankowi Jana. Przez małżeństwo Barbary Kostkówny z Franciszkiem Turzą przechodzi Orawa na rodzinę patrycyuszów spiskich Turzonów, z początku tylko jako zastaw, później jako dziedzictwo, nadane przez

cesarza (1606) wraz godnością dziedzicznego hrabiego i nadżupana orawskiego.

Północne okręgi komitatu trenczyńskiego, mianowicie czacki na granicy śląskiej, znajdowały się do XVI w. w posiadaniu książąt cieszyńskich. Spory graniczne w tych stronach pomiędzy Węgrami a księstwem cieszyńskiem trwały aż do XVII w., a zakończone zostały dopiero w XIX w. za cesarza Franciszka I. W latach 1389—1434 znajdowało się całe hrabstwo trenczyńskie w posiadaniu szlachcica polskiego Ścibora Ostoji z Ściborzyc, syna wojewody kaliskiego Suliwoja. Położył on wielkie zasługi osobiste około króla Zygmunta Luxemburczyka, jako wierny jego poplecznik, za co go ten mianował wojewodą siedmiogrodzkim i nadżupanem (hrabią) Preszburga, Pożegi i Trenczyna, nadając mu całą ziemię nad Wagiem wraz z 36 zamkami i należącemi do tychże dobrami. W XV w. posiadali zamki Biczę i Ljetawę Polacy Borzywoj Skrzyński i Włodek z Barwałdu.

Z powyższego bardzo pobieżnego zestawienia wynika, jak bliskie łączyły nas dziejowo stosunki z Słowaczyzną. Na bliższości narodowej opierała się pierwotna wspólność państwowa, następnie zaś na tej samej podstawie polscy możnowładcy: Sciborowie, Komorowscy, Kostkowie Siedleccy, Dubowscy, Lubomirscy, Odrowążowie, Wielopolscy i inni garnęli się na tę ziemię, czując się jako u siebie.

Oddzielność państwowa wpływała głównie na oddalanie się tych ziem od polszczyzny, do czego przyczyniły się jeszcze niepospolicie inne uboczne okoliczności, mianowicie wpływ czeszczyzny silny. Reformacya szła na Słowaczyznę z Czech, a z nią piśmiennictwo kościelne, za tem poszło, iż Słowacy posiadający nie wyrobione gwary ludowe przyjęli język czeski jako swój piśmienny. W drugim kierunku oddziaływała czeszczyzna na Słowaków za pomocą husytów, nawiedzających ich kraj, jakoteż pośrednio przez sąsiednie Morawy, z któremi Słowaków łączyły silne tradycye dziejowe i religijne. W końcu trzeba wziąć pod rozwagę okoliczność, że polszczyzna, która w XVI w. miała swój wiek złoty, rozwijała się niepospolicie, podczas gdy gwary biednych ciemiężonych Słowaków, żyjące tylko w ustach ludu, pozostawały przez długie wieki w zastoju. Jeżeli zatem gwary słowackie zarówno w dzisiejszych północnych Węgrzech, jak na Morawach, zachowały dziś jeszcze tyle właściwości polskich, jak n. p. brzmienia

dz zamiast czeskiego *d'*, *ł* zamiast czeskiego *l*, — w niektórych gwarach nosówki: *ą* i *ę* lub ich odpowiedniki *om*, *on*, *em*, *en* i *un*; miękkie: *ć*, *dź*, *ś*, *ź*, a nawet zakończenie czasowników jak: prosić, dzelać, kosić i t. p., nie jak w czeskiem i innych językach słowiańskich na *t'*, lecz na *ć*, do czego dodać jeszcze trzeba, że w wielu gwarach akcent spoczywa jak w polskiem na przedostatniej zgłosce, — mamy w tem dowód, że słowackie gwary co najmniej do XV wieku były jakby polskie, jeśli mimo panowania czeszczyzny przez długie wieki w piśmiennictwie, kościele i szkole, (co tak dalece w lud przeszło, iż dziś nawet, chociaż Słowacy posiadają własny język piśmienny, po kościołach ewangielickich z czeskich modlą się z książek, śpiewają z czeskich kancyonałów) — zdołały utrzymać tyle właściwości polskich. Wspólność zaś językowa musiała trwać jeszcze długo po rozłączeniu się politycznem, skoro w słowaczyźnie znajdują się brzmienia *dź* zamiast miękkiego *d'* i *ć* zamiast miękkiego *t'*, których stara polszczyzna nie znała, a które to brzmienia, jak profesor Baudouin de Courtenay[1]) dowiódł, zaczęły się w polszczyźnie pojawiać dopiero w XIII stuleciu. Czeskie znamiona językowe ujawniają się głównie w gwarach słowackich fonetycznie i przez używanie *h* zamiast polskiego *g*, lecz stara słowaczyzna, jak o tem świadczą zabytki dawne piśmienne, posiadała *g*, które dopiero wskutek czeszczyzny zamieniło się w *h*, co zresztą widzimy w znacznej części w gwarach polskich na Śląsku austryackim i południowej części pruskiego Śląska, u górali beskidowych i tatrzańskich, jakoteż w Sądeczyźnie. Gramatykalnie i pod względem słownictwa dziś jeszcze gwary słowackie ludowe bliższe polszczyźnie, aniżeli czeszczyźnie.

Warto też zwrócić uwagę na wspólność przysłów. Prawie wszystkie polskie ludowe przysłowia żyją w uściech ludu słowackiego. Ta sama wspólność da się wykazać w pieśniach ludowych i podaniach. Wspólnych przysłów nie przytaczam, gdyż przyszłoby mi sporą część zbioru przysłów polskich Adelberga wypisać. Z podań n. p. o zbójnikach pełne Tatry i słowacka Matra i Fatra. U naszych i słowackich górali Janosik, Janik — jest równie ludowym bohaterem. Piękna balada ludowa zbójnicka, którą przytacza Seweryn Goszczyński w swoim opisie polskich Tatr

[1]) O drewno-polskim jazykie. Lipsk.

i Pienin, żyje w tej samej postaci na Słowaczyźnie. Oto słowacka jej osnowa (grafiką polską):

Janik, Janik, cziry zbojnik,
Wiesz po horach każdy chodnik;
W noczi idziesz, w noczi pridziesz,
Nigda mi nicz nedoniesesz;
Len koszielku orosenu
A szabliczku zakrwawenu.
Cziczibeli, syn môj mały,
Bych wiedeła, że si taky,
Ako je twôj otec klaty:
Na kusyby tia tarhała
Strakam, wranam rozhadzała.
„Żena moja premilena,
Akoże si to śpiewała
Ked' si syna kolisała?"
Wed'som si ja nespiewała,
Len som mu tak powiedała:
Cziczibeli, syn môj mały!
Bych wiedeła, że si taky,
Ako je twôj otec dobry,
Wo winie bych tie kupała,
Do szarłatu powijała.

Albo czy te słowackie przyśpiewki nie posiadają zupełnego rytmu krakowiaków:

Śpiewanki, śpiewanki, kdeste sa wy wzały,
Cziste z neba padły, cziste rastły w haje?
Z neba sme ne padły, w haji sme ne rastły,
Ale nas mladenci a dziewczence naszły.

Pojdem do kostoła, sadniem se pod obraz,
Pozrem raz na obraz, na miłeho sto raz.
Boże môj, Boże môj z wysokeho nieba,
Kud si mi dał zuby, dajże mi aj chleba [1]).

Oto próba gwary ludowej z morawskiej „Slowaczy", z pieśni ludu słowackiego, tak zwanych „kopaniczarów".[2])

Żitkowa, Żitkowa
Prasziwa dzedzina
Nie mohla wychowač
Pre mnia czeledzina.

---

[1]) Rytm krakowiaka, a nawet jego nuta, znaną jest jednak i w Czechach właściwych. *Przyp. red.*

[2]) Zpěvy moravskych kopaničarou. Sebral Joža Czerach. Uherský Brod.

Ked' ho wychowała,
Na wojnu ho dała,
Żitkowskim dziewczencom
Lubić ho nie dała.

Albo:

Poczuwaj ma miła
Ocz tia budzem prosić,
Ej, donieś mi wineczka
Hdze ja budzem kosić.

W pieśniach tych znajdują się wyrażenia: „czo ja hrieszna budzem dzielać?“, „miła, dobry dzeń“, „ked' som k' wam chodziewał“, „Hanulieńka, Hana, kdzes tu wodu brała?“, „Nie budzem hajnikom, lesz budzem zbojnikom“; zamiast czeskiego: broskev — b r e s k y n i a (brzoskwinia); zamiast czeskiego: pojd'te — c h o j c e (chodźcie); zamiast czeskiego: svetniczka — i z b i c z k a; zam. cz. kolikrat — k e l k o r a z i (kilka razy); zam. czeskiego: trapisz — m o r i s z (morzysz); zam. cz.: nejednou — n i e r a z; zam. cz.: obyczej — o b y c z a j; zam. cz.: wyhlednouti — p o z i e r a ć; zam. cz.: dielasz — r o b i s z; zam. cz.: switi — s w i e c i a (świeci); zam. cz. zasela — z a s i a ł a i t. d. i t. d.

Gdy jesteśmy już przy próbach gwarowych, przytoczę jeszcze to, co wiernie przepisałem z napisu sklepowego w Turczańskim Świętym Marcinie: „Z p o s r e d k u j e o s a d z a n i e o b r a z o w d o r a m o w, o k ł a d a n i e z a s k ł o a n a p r a w i a n i e o b r a z o w ł a c n o a r y c h ł o“. Gdy przy tym napisie rzekłem do towarzyszącego mi dziennikarza słowackiego, że z wyjątkiem wyrazu: „zposredkuje“, który po polsku brzmiałby nieco odmiennie (pośredniczy), wszystko inne brzmi po polsku, odparł:

— Ten jeden tylko wyraz wzięty z języka literackiego — tamto wszystko ludowe.

Język też słowacki piśmienny, którego gramatykę ułożył praski profesor slawista H a t t a l a, a którego twórcami byli przed mniej więcej 60 laty Š t u r, H u r b a n i H o d ž a, jest dla Polaka daleko trudniejszy do zrozumienia, aniżeli gwary ludowe, których istnieje mnoga rozliczność na Słowaczyźnie, podobnie jak strojów ludowych, w które jest tak bogata.

Między Słowakami na Węgrzech ciągnie się od Trenczyna aż do Koszyc stokiem Beskidów, Tatr i Karpat około 300.000 a może i więcej ludności polskiej, zapomnianej i zaniedbanej przez naród polski, którą powszechnie i urzędowo zaliczają w znaczniejszej części do Słowaków, w mniejszej zaś do Rusinów.

Tych Polaków odkryli przed kilkudziesięciu laty czescy uczeni profesorowie Šembera i Polivka. Podług tych klasycznych świadków zamieszkuje ludność polska północne części komitatów: trenczyńskiego, liptowskiego, orawskiego i część Spiżu. Wyliczają oni — w szczególności Šembera — około 100 wsi polskich z ludnością 87.000 dusz, czyniąc uwagę, iż w giemerskim i zimplinskim komitacie, gdzie się znajduje także ludność polska, stosunki narodowościowe nie są mu znane. Co do mnie, sądzę, iż prócz ziemi giemerskiej, szaryskiej i zemplińskiej, posiada jeszcze komitat abaujecki i honcki ludność polską, gdyż w Koszycach rozmawiałem po polsku z pewnym miejscowym człowiekiem, który nie wiedział, że mówi po polsku, zowiąc swoją rodzimą gwarę: „po naszemu". To samo zdarzyło mi się koło Preszowa (Eperjes). Ludność polska na tak zwanej Rusi zakarpackiej tem łatwiej bywa poczytywaną za ruską, iż jest obrządku grecko-unickiego. Obrządek rozstrzyga o narodowości, a jeżeli w jej gwarze znajdują się naleciałości małoruskie, nietrudno rozeznać w tem wpływ kościoła przy braku zupełnym języka piśmiennego i szkoły narodowej, podobnie jak ludność polska wyznania katolickiego ulega wpływowi kościelnej słowaczyzny, a ludność polska wyznania ewangelickiego nadto jeszcze czeszczyźnie przez używanie czeskich książek do nabożeństwa i kancyonałów. Można powiedzieć, iż utrzymanie polszczyzny przez tę ludność wśród stosunków tak nadzwyczajnych, w stopniu tak wybitnym, iż nawet Czesi, którzy gwarę polską w księstwie cieszyńskiem (koło Morawskiej Ostrawy), w Frydeckiem i koło Bogumina mienią czeską, uznają ją za polską — równa się cudowi. Jak ogromnej potrzeba do tego zachowawczości, jak gorącej miłości mowy rodzinnej.

Polska ludność w komitacie trenczyńskim ogniskuje się głównie na północy w powiecie sądowym czaczańskim przy granicy węgiersko-śląskiej. Ludność polska tej okolicy zachowała wszystkie właściwości fonetyczne polskie, nawet nosowe samogłoski *ą* i *ę*, jakoteż *g* zamiast *h*. Mieści się głównie w następujących 15 gminach: Czacza, Czerne, Horzelice, Olesna, Oszczadnica, Podwysoka, Rakowa, Skalite, Staszków, Swierczynowiec, Tuszówka, Maków, Wysoka, Zawodzie i Zborów. Liczba jej wynosi 25000—30000.

Orawa, górna i dolna, z wyjątkiem zamku orawskiego z przyległościami należała pierwotnie do kasztelanii krakowskiej,

względnie do księstwa oświęcimskiego. Dopiero na początku XIV w. podbił Orawę Mateusz Czak, hrabia trenczyński, po którego bezdzietnym zgonie przypadła królowi węgierskiemu, który nadał ją wraz z zamkiem orawskim w lenno Lambertowi, hrabiemu na Czanadzie i Nitrze, który występuje pierwszy jako „komes" (nadżupan) na Orawie. O późniejszych losach tej ziemi patrz powyżej. Tu jeszcze zaznaczyć należy, że hrabiowie orawscy Turzowie, pochodzący z patrycyuszów spiskich, posiadali imienników między patrycyuszami krakowskimi i że prawdopodobnie pierwotnie pochodzili z niemieckich mieszczan krakowskich. Šembera wylicza na Orawie 24 gmin polskich, jakoto: w okręgu sądowym terszteńskim: Żubszyca Górna, Żubszyca Dolna, Lipnica Górna, Lipnica Dolna, Jabłonka, Orawka, Podwilk, Sarnia pod Łysą Górą, Harkabuz, Bukowina, Piekielnik, Chyżne, Głodówka i Sucha Hora; w okręgu namiestowskim: Erdedka, Klin-Zakamienne, Nowoty, Benedyków, Mętne pod Magurą, Wesele, Sechelno, Połhora pod Babią Górą, Rabcza i Rubczyca. Polivka podaje 26 gmin polskich, wyliczając jeszcze jako polskie miejscowości: Danielki, Podskle, Studzienki i Dulow. Inne źródła dodają jako polskie jeszcze: Hrustyn, Biały Potok, Witanowę, Krusetnicę, Czarną Horę i Żuberec, do czego jeszcze doliczyć należy: Namiestów (miasteczko)' Tersztén (miasteczko), Słunicę, Bobrów, Żubrohławę, Wawreczkę, Łokcę, Czimkowę, Hamry, Zabidów i Uście, co razem czyni 43 gmin z ludnością mniej więcej 40000 dusz. Ludność polska na Orawie zajmuje zwarcie terytoryum co najmniej 20 mil kwadratowych. Zowie siebie „Krajniakami" i nie posiada świadomości narodowej, nie wie, że mówi po polsku, owszem, jak dr. Polivka stwierdza, przeczy temu a swoją gwarę polską zowie *po naszemu*, podobnie jak słyszałem w Koszycach i czem zaznacza odrębność swej gwary od gwar słowackich zwanych: *słowenskiemi*.

W komitacie liptowskim panował od r. 1458 jako hrabia szlachcic polski Piotr Komorowski, wyparłszy przy pomocy wojsk husyckich słynnego rycerza-zbójnika Pongracza Szent Mikloszy ze Starego Hradu. Następcą jego w nadżupaństwie był bratanek Zygmunt Komorowski, którego pozbawił hrabstwa liptowskiego w r. 1474 król Maciej Korwin. Šembera wymienia w Liptowskiem jako polskie gminy: Wiekie Borowe, Świ-

niarki, Huty, Osadę, Łużnę, Górną Rewucę, Dolną Rewucę i Średnią Rewucę, razem 8 gmin z ludnością 7065 dusz (w r. 1876). Prócz Šembery nikt nie rozpatrywał bliżej stosunków etnograficznych w stolicy liptowskiej, gdzie prawdopodobnie dałyby się zrobić ciekawe nowe odkrycia.

O Spiżu, jakoteż o komitatach szaryskim, giemerskim, zemplińskim i abujeckim, gdzie się znajduje również ludność polska, brak pewnych danych, co bynajmniej naszej dbałości narodowej zaszczytu nie przynosi. Na razie znaczę tylko tu liczne nazwy miejscowe polskie, ślady ludności polskiej śpiącej od wieków w osadach ciągnących się stokami gór aż do Koszyc i Preszowa, podobnie jak zaklęte wojska snem zmorzone w wnętrzu górskich olbrzymów, czekające, aż przyjdzie czas do pochodu. O Spiżu posiadamy wprawdzie ułamkowe wiadomości etnograficzne, pochodzące przeważnie od ochotników-wycieczkowców, pojawiające się w rozrzuceniu po rozmaitych czasopismach, z tego atoli, chociaż przedstawiają one poniekąd cenny materyał, całokształtu stosunków narodowościowych złożyć niepodobna, zwłaszcza, iż tu ścisłe badania naukowe są nieodzowne.

W okolicach Bardjowa śpiewają:

Ked' ja iszoł od kurimi kukuricu młacić,
Cepi sze mi połamali, muszeł som sze wracić.
Cepi sze mi połamali, bilen sze mi skriwił;
Ach, Boże mój premileni, z czim sze budzem żywił?

Koło Preszowa śpiewają dziewczęta:

Wołki moje, wołki, wczas ja was wihnała,
Wi sze nie napaśli, ja sze ne wispała.
Wi sze ne napaśli na zelenich łuczkach,
Ja sze nie wispała w szuhajowich ruczkach.

Lud z pod Koszyc przyśpiewuje:

Ej, Koszice, Koszice,
Murowane piwnice:
Jest tam dziwcze rumene,
Za sto złatich stawene.
Kebi mi ju chceli dać,
Poszełbi ja ju pitać.

Ja ce lubił i nigdi nie prestanem,
Coż mi z tego, ked ja ce nie dostanem?

Czy to gwara ruska? Pozostawiam odpowiedź w zawieszeniu.

Zkąd się wzięła ludność polska na południowych stokach Beskidów i Tatr? Osadnicza z pewnością nie jest, o tem stare do-

kumenty nie przechowały nigdzie wiadomości. Nosi ona też we wszystkiem znamiona na sobie starożytnej tubylczości i pierwotności. Jest to ludność, do której, jako mieszkającej w górach mało dostępnych, wśród skał i lasów, wszelkie wpływy z zewnątrz, w szczególności czeszczyzna, bardzo mało docierała i nie psowała gwar ludowych pierwotnych w tej mierze, jak w dolinach rzek, kędy wiodły drogi, lub na żyznych równinach, i tym sposobem stało się, iż stare gwary, im góry wyższe i mniej przystępne, tem czyściej się zachowały. Gwary zatem polskie na stokach Beskidów i Tatr są najstarszemi i najczyściej utrzymanemi pierwotnemi gwarami ziem zakarpackich, znanych obecnie pod zbiorową nazwą Słowaczyzny i tak zwanej węgierskiej Rusi.

Dziś Słowacy, posiadłszy własny język piśmienny i piśmiennictwo narodowe, pięknie się rozwijające, tworzą w Słowiańszczyźnie osobną indywidualność narodową, nam zawsze jeszcze najbliższą, z którą niestety nie łączą bliższe sąsiedzkie stosunki, jak być powinno, a co obopólnie, nam i Słowakom, przynosiłoby wielkie korzyści.

Upośledzony ten i srodze uciskany naród słowiański i skazany obecnie na zajmowanie bardzo podrzędnego stanowiska, na toczenie walki obronnej ze związanymi, że się tak wyrażę, rękoma, z madiarskim wrogiem godzącym najbrutalniej na jego istnienie, naród ten cichy i na pozór bierny, posiada w swem łonie nietylko ogromną siłę odporną, lecz też zdrowotność narodową i rozrodność plemienną nadzwyczajną, która przy wielkiej jego zachowawczości prędzej lub później stawi go na widowni światowej, jako czynnik odgrywający niepoślednią rolę w Słowiańszczyźnie i w ogóle w rodzinie ludów. Lud słowacki, mimo prawie bezprzykładnego ciemięstwa ze strony rządu węgierskiego, nietylko nie zanika, lecz przeciwnie rozrasta się, czego przykłady przytacza dziejopis słowacki F. V. Sasinek[1]) wskazując, iż w komitacie zwoleńskim powołał w r. 1635 Władysław hr. Csaky z Vegles kilku chłopów słowackich do karczowania rozległego swojego lasu. Z małej osady słowackiej przez niego utworzonej a nazwanej Detwa, utworzyła się w r. 1662 osobna gmina, obecnie 10.000 dusz licząca, z której w zeszłem stuleciu powstała osobna gmina Detwa-Hala z ludnością 4000. Rozrodność ta objawia się nietylko we właściwej Słowaczyźnie, lecz także i na

[1]) Die Slovaken. Praga 1875.

Dolnych Węgrzech, gdzie Słowacy tworzą kolonie. Tam między innemi osada Czuba była przed mniej więcej 150 laty zupełnie nieznaczną; dziś liczy ona około 30.000 mieszkańców, zaludniwszy nadto jeszcze silnie okolicę Słowakami. Prawie po całych Węgrzech rozrzucone są kolonie słowackie, rozrastające się, których ludność wynosi przeszło 500.000 dusz. Ludność właściwej Słowaczyzny oblicza Sasinek na okrągło 2,500.000 dusz, a wychodźtwo w Ameryce wynosi 500.000. Jeśli do tego doliczymy jeszcze 800.000 Słowaków na Morawach, otrzymamy razem 4.300,000 ludności słowackiej. W właściwej Słowaczyźnie posiadają komitaty: Trenczyn, Orawa, Zwoleń i Liptawa czysto słowiańską ludność (Słowacy i Polacy); w komitatach Turocz, Barsch, Nitra, Hont, Giemer, Spiż, Szarosz, Zemplin i Abauj tworzą Słowianie większość (Słowacy, Polacy, Rusini), zaś w komitacie preszburskim i nowogradzkim są Słowacy w mniejszości.

Rozrodność przyrodzona Słowakom wynagradza im szczerby, względnie ubytek, spowodowany dziką madiaryzacyą. Naród słowacki nie posiada obecnie ani jednej szkoły ludowej, nie mówiąc już o szkołach średnich, w którejby języka słowackiego używano jako wykładowego, lub przynajmniej w szkołach średnich wykładano choćby jako przedmiot nieobowiązkowy. Wszystko madiarskie, zacząwszy od pierwszej klasy szkoły ludowej. Narodowe trzy gimnazya, które lud słowacki za własne swoje utworzył był pieniądze, zniósł bezprawnie rząd węgierski, zabierając przytem, jak wiadomo, gmach „Macierzy słowackiej“ z zbiorami cennymi i książnicę, jakoteż fundusz żelazny wynoszący 200.000 koron. Szkoła ludowa madiarska między Słowakami jest istotnie tylko szkołą ogłupiania dzieci, zakładem powstrzymującym oświatę ludową, co oczywiście wyrządza im wielką krzywdę, pod względem atoli madiaryzacyi nie posiada doniosłości, gdyż dzieci słowackie po skończeniu dresury madiarskiej wracając na łono rodziny, u Słowaków bardzo spojonej i wzorowej do wsi czysto-słowackiej, wkrótce zapominają języka madiarskiego, którego ich poduczono. Szkoła ludowa madiarska zatem madiaryzuje, powstrzymując tylko oświatę. Natomiast szkoły średnie madiarskie wyrządzają niemało szkody narodowej, wychowując cały szereg renegatów lub tak zwanych „madiaronów“, odżywiając wymierające plemię madiarskie. W Turczańskim Świętym Marcinie, jakoteż w innych ogniskach życia narodowego słowackiego, słyszałem

najwięcej skarg i utyskiwań na madiarskie szkoły średnie. Mówiono o tem prawie wszędzie jednakowo.

— Te szkoły są naszem największem nieszczęściem. Nie mając narodowych szkół średnich, nie możemy mieć inteligencyi, a brak jej odczuwamy w każdej gałęzi życia narodowo-społecznego bardzo boleśnie. Z drugiej strony madiarskie szkoły średnie wytwarzają u nas mnóstwo zdrajców narodowych, zaprzańców, podszywających się pod madiarszczyznę dla karyery, dla chleba. Słowak narodowy niema nigdzie przystępu, ani na posadę rządową, ani autonomiczną. Jedynie wolne zawody są dla nas przystępne, tak, iż nasza narodowa inteligencya, bardzo nieliczna, skupia się w stanie duchownym, adwokackim i lekarskim. Bóg jednak użycza nam siły przez wielką rozrodność naszego plemienia i siłę absorbującą niesłowackich sąsiadów. Przykładów pod względem ostatnim dostarczają nam podostatkiem prawie wszystkie górskie miasta naszej ziemi, które pierwotnie zaludnione były przez niemieckich osadników. Pracowici i oszczędni Słowacy ściągali do tych miast ze wsi, jako parobcy, pastuchy i sługi, później dorobiwszy się nieco grosza, osiadali tamże, zostawali mieszczanami, a z czasem zdobyli większość i panowanie. Widzimy to np. w całej części górnej komitatu giemerskiego, która w XIV wieku była wyłącznie zaludniona przez niemieckich górników, po których zaledwo ślad pozostał w niektórych niemieckich nazwiskach, jakie noszą najlepsi Słowacy. Brak nam tylko inteligencyi, potomstwa inteligentnego, a to napawa nas największą troską o przyszłość narodową.

Starsi w Turczańskim Świętym Marcinie trzymają się dzielnie, chociaż ich szeregi przerzedzają się. Ubył w ostatnim czasie jeden z najzasłużeńszych działaczy narodowych Ambros Pietor, redaktor *Narodnich Novin*, którego miejsce zajął znany poeta i pisarz narodowy Světoslav Hurban-Vajansky. Polityczny przewódca stronnictwa narodowego dr. Mudroń i gorliwy jego współpracownik adwokat Dula trzymają się krzepko, mimo wieku sędziwego. Naród otacza ich czcią, lecz młodsi zaczynają ich wyprzedzać. Organ ich *Narodnie Noviny* zamienił się z pisma codziennego na trzy razy w tygodniu wychodzące w 800 egzemplarzach, natomiast tygodnik *Slovenski Tyždennik*, wydawany przez posła Milana Hodżę w Budapeszcie, wychodzi w 15000, a *Ludove Noviny* posła dr. Blaho w Skalicy w 14000 egzemplarzy. Mlada stranka, do której

należą posłowie: Hodža, dr. Blaho, ks. Juriga, Ivanko, jakoteż ks, Hlinka i inni, ruchliwsza, zwraca całą swą uwagę na lud, wśród którego działa i osięga bardzo pomyślne wyniki. Na nią też tyrani madiarscy zwracają uwagę najbaczniejszą: ks. Juriga, ks. Hlinka w więzieniu, skazani na 2, względnie 3 lata, a obecnie zasądzono posła Ivankę na rok więzienia. — „Starzy“ w Turczańskim Świętym Marcinie, pozostawiając pracę wśród ludu więcej „młodym“, imają się usilnej pracy kulturalnej, której pięknym owocem między innemi jest świeżo powstałe „muzeum narodowe“ w pięknym własnym gmachu, posiadające bardzo cenne zbiory, w szczególności etnograficzne i przyrodnicze. „Muzeum“, równie jak „Dom narodowy“, ubezpieczone są od zaboru madiarskiego w ten sposób, iż w miejskiej księdze wieczystej zapisani są jako jego prywatni właściciele wszyscy udziałowcy, tj. wszyscy ci, którzy przyczynili się do składki narodowej udziałem 50 koron. W skonfiskowanym gmachu „Macicznym“ mieści się obecnie urząd komitacki, urząd podatkowy, poczta, żandarmerya; z przybytku narodowego stał się matecznik madiarski.

W Dolnym Kubinie odwiedziłem największego poetę słowackiego Hvězdoslava, którego właściwe nazwisko jest Orszag. Utwory jego poetyckie wyszły niedawno zbiorowo w 4 grubych tomach, nakładem narodowej „spolkowej“ tłoczni w Turczańskim Świętym Marcinie.

Jest on urodzony w r. 1849 na Orawie we wsi Górnym Kubinie, przy miasteczku Dolnym Kubinie, gdzie od lat zajmuje się adwokaturą. Mickiewicz, Słowacki, ulubieni jego wieszczowie. Słowackiego „Ojca zadżumionych“ przełożył na język słowacki, a obecnie pracuje nad przekładem jego „W Szwajcaryi“. I on utyskiwał bardzo w rozmowie ze mną na brak potomstwa inteligentnego, co szczególnie dotkliwie uczuwać się daje w słowackiem piśmiennictwie.

— Z węgierskich szkół średnich — mówił z ubolewaniem — wychodzą prawie sami zaprzańcy. Słowak narodowy niema miejsca w żadnej służbie rządowej, może się chyba imać wolnego zawodu. Przy braku młodszej inteligencyi nie może się prawidłowo rozwijać nasze piśmiennictwo, chociaż nie brak nam kilku obiecujących młodszych talentów poetyckich i pisarskich, jak Žak-Somolicky, Sladkovič syn, Kičersky, Jesensky i Podjavorenska.

Mówiąc o ucisku ludu słowackiego iż zauważył, wychodzi on głównie od oligarchów magnackich, tradycyjnie do tego przyzwyczajonych i na tem swe panowanie w kraju opierających.

— Lud madiarski — dodał — dobry i sprawiedliwy. Gdyby on rozstrzygał, byłoby inaczej.

Potem mówił dalej:

— Magnaci węgierscy zwlekają też z reformą wyborczą, która podług zobowiązania wobec monarchy, powinna być już przeprowadzona. Tymczasem oni usuwają po swojemu przeszkody dla swojej reformy, to jest reformy „sui generis“, przykrojonej dla własnej potrzeby — usuwają przeszkody, więżąc naszych posłów, by ci nie mogli oponować.

Użalał się też, iż lud słowacki w wielkiej części obojętny i apatyczny. Po wsiach ulega on szlachcie madiarskiej, wybierając po jej woli. Inaczej powinniby Słowacy nie 6, lecz conajmniej 50 mieć posłów w parlamencie węgierskim. Teraz zaczyna między ludem świtać zorza i lud budzi się ze snu. Zasługa w tem głównie posła H o d ż y. On z swoimi współpracownikami poszedł między lud, uważając uświadomienie jego za główne zadanie polityki narodowej.

„Starsi“ w Turczańskim św. Marcinie prowadzili politykę w większym stylu, zwracając za mało uwagi na lud. Dziełem ich było założenie trzech narodowych szkół średnich, utworzenie „Maticy slovenskej“, zbudowanie dla niej gmachu, w którym umieszczono zbiory muzealne i cenną książnicę, jakoteż założenie spółki wydawniczej i banku „Tatran“. Owoc ich pracy został w większej części zniszczony przez rząd węgierski, przez rozwiązanie narodowych szkół średnich i zabór gmachów szkolnych, jakoteż gmachu Macierzy wraz z funduszem żelaznym. Statut towarzystwa Macierzy orzekał, iż w razie rozwiązania towarzystwa majątek jego przypada narodowi słowackiemu. — Ówczesny prezydent gabinetu węgierskiego K o l o m a n T i s z a orzekł, iż „w Węgrzech nie istnieje naród słowacki“, więc zabrał gmachy i majątek. Gmachy szkolne obrócił na szkoły madiarskie, mające przeznaczenie wynaradawiać Słowaków, zaś dom macierzny i fundusz żelazny zabrany przekazał „ad hoc“ utworzonemu towarzystwu madiaronów, noszącemu nazwę „U h o r s k o-k r a i n s k i s p o l e k s l o v e n s k i“, które dom macierzny wynajmuje za bezcen rządowi na urzędy, z kapitału zaś macierznego wydaje dla bałamucenia ludu słowackiego w Budapeszcie

dziennik *Slovenske Noviny* i dwutygodnik *Vlast a Svět* w duchu madiarskim.

Jak dalece u nas idzie nieznajomość stosunków słowackich, wystarczy wskazać na okoliczność, że niektóre nasze dzienniki przytaczają dla objaśnienia spraw słowackich opinie *Slovenskich Novin*, co zupełnie tak samo wygląda, jak gdyby kto informował o stosunkach w Królestwie Polskiem z *Dniewnika Warszawskiego*, lub o stosunkach w Wielkopolsce z *Posener Tageblatt.*

O przepychu strojów ludowych słowackich daje wyobrażenie dział ich w „muzeum" turczańskiem, dział bogaty w okazy z najrozliczniejszemi odmianami. Śmiało rzec można, iż niema ludu słowiańskiego, któryby posiadał taką rozmaitość i barwność strojów narodowych, co Słowacy. Etnograf morawski Józef Klvaňa wylicza u samych Słowaków morawskich nie mniej jak 28 różnych strojów ludowych, z których niemal każdy posiada jeszcze pewne odmiany w zdobnictwie, barwach lub kroju. Zupełnie tak samo na Słowaczyznie węgierskiej, gdzie nietylko każda okolica, lecz prawie każda większa gmina posiada swój własny strój ludowy. Zdobnictwo strojów z najśmielszemi kombinacyami barw i piękną oryginalną wzorzystością wkracza stanowczo w dziedzinę sztuki, składając zarazem niezbite świadectwo, iż u ludu tego już w prawieku istniała samorodna kultura, w niepoślednim stopniu rozwinięta, kultura, którą obca przemoc i wpływy cudzoziemszczyzny tłumiły i niszczyły, lecz doszczętnie zniszczyć nie mogły, a której pozostałościami są właśnie pyszne stroje ludowe, ludowe zwyczaje i obyczaje, skarb językowy i stare nazwy miejscowe, przechowujące pamiątki dziejowe i społecznych urządzeń.

Nitra — o której słowacka pieśń ludowa śpiewa:

Nitra miła, Nitra,
Ty wysoka Nitra!
Kdieże su tie czasy,
W ktorych si ty kwitła?

. . . .

Ty si boła niekdy
Wszetkych krajen hława,
W ktorych tieczie Dunaj,
Wisła i Morawa —

ta Nitra, której „sława teraz w toni skryta leży", góruje przepychem strojów ludowych. Posiada odrębny krój stroju.

Mężczyźni w niebieskich obcisłych wyszywanych spodniach w buty, noszą sute futrzane żupany lub czarne kurtki, niebiesko wyszywane, z dużemi srebrnemi guzikami. Niewiasty w spodnicach niebieskich, z opleckami u koszul przepysznie wyszywanemi. Barw u nich wielki przepych. Widać ze stroju, iż lud zamożny. Lud zwoleński bogactwem wyszyć i ich barwnością mało co ustępuje Nitrzanom, tylko u niego przeważa barwa czarna. — W trenczeńskiej stolicy noszą mężczyźni białe sukienne obcisłe spodnie czarno wyszywane, czarną kamizolę z czerwonem wyszyciem u przodu i z srebrnemi guzikami, z wierzchu białą gunię, rodzaj sukmany; niewiasty mają bogate barwne wyszycia na koszulach, czarne wyszywane staniki z klamrami srebrnemi. W zimie noszą mężczyźni „kapce“ (rodzaj obuwia wełnianego) sięgające do połowy łydek, pięknie czarnym jedwabiem wyszywane. W samem mieście Trenczynie widziałem kilka odmian stroju ludowego. U niektórych żupany krojem i barwą przypominają żupany krakowiaków, a gunie krojem sukmany krakowskiego ludu. Liptowianki ubierają się bardzo barwnie. Niektóre mają niebieskie staniki, a czerwone wstążki na ramieniu, inne znowu czerwone staniki przy niebieskich wstążkach. Fartuchy wyszywane. Wogóle wszędzie widać sute, barwne wyszycia nietylko u niewiast, lecz także u mężczyzn — na koszulach, spodnicach, fartuchach, stanikach, chustkach; to samo u mężczyzn na spodniach, koszulach, kamizolach i żupanach, jakoteż na guniach i sukmanach. W Zwoleńskim i Liptowskiem noszą niewiasty zamężne pod chusteczką na głowie czepce białe, krajem wyszywane, zupełnie podobne do czepców zamężnych „walaszek“ w okolicach Cieszyna. Orawiacy różnią się strojem znacznie od innych. Noszą oni obcisłe spodnie wełniane białe lub czarne, u góry wyszywane zielono z czerwonem, przy spodniach białych wyłogi czarne. Używają jako obuwia „krepców“, które przymocowuje do nogi owinięty wyżej kostek czarny rzemyk; kamizole ich posiadają srebrne guzy. Noszą często futrzane serdaki, podobnie jak górale w Tatrach galicyjskich. Gunie ich z czarnego sukna wełnianego, dość krótkie, szerokie, z długimi rękawami, posiadają krój płaszczów, z bogatemi wyszyciami zielonemi. Na rękawach wyłogi czerwone. Kapelusze z szerokiemi kresami pionowo do góry podniesionemi, leżą na głowie jurnie i zgrabnie, wyróżniając się korzystnie od zamaszystości kresów „klobukowych“ innych komitatów. Szlachta orawska posiadała

swój strój odrębny, rodzaj delii sobolami wvłożonej, które nosili zarówno mężczyźni jak niewiasty. Strój bardzo oryginalny, zbliżony bardzo do polskiego stroju szlacheckiego. Olśniewające zaiste bogactwo barw, zdobnictwa, krojów, a wszystko nacechowane dobrym smakiem, wielką pomysłowością i misternem wykonaniem, zwłaszcza wyszyć, w większej części przepięknych, niemniej też zdumiewającą rozmaitością wzorów — nieprzebrane skarby dla sztuki, czerpiącej z barwnego zdobnictwa ludowego.

Morawska Słowacz wydała też oryginalnego malarza ludu słowackiego, genialnego Jożę Uprkę, który utworzył szkołę. Barwne zdobnictwo ludowe cechuje wszystkie jego wspaniałe dzieła, artysty europejskiej sławy, wyrosłego z ludu słowackiego i wśród niego, w Lhocie Hroznowej, z chłopami jako chłop żyjącego. Posiada on cały szereg uczniów, z których kilku zapowiada się świetnie. Obok Uprki stoi godnie Alfons Mucha, a chociaż rodzaj jego sztuki jest inny, niemniej przeto słowackie barwne zdobnictwo ludowe odzwierciedla się tęczowo w jego niezrównanej kolorystyce. W muzeum turczanskiem widziałem dwa olejne obrazy malarza słowackiego K. Lehotskiego, mieszkającego w Dolne zemi (Baczce), przedstawiające sceny z życia węgierskich Słowaków, dzieła doskonałe, uderzające nadzwyczajną prawdą życiową i misternem wykończeniem. Nie mogłem się o malarzu dowiedzieć bliższych szczegółów. Jeśli to jeszcze młody artysta, zapowiada bezsprzecznie bardzo wiele. Bądźcobądź talent pierwszorzędny. Były na sprzedaż. Cena ich, 400 i 600 koron, wydała mi się bajecznie niską.

Równie, jak strojów, posiadają Słowacy bogactwo pieśni ludowej. Ton ich przeważnie przygnębiony, żałośny, odpowiadający niedoli ludu słowackiego. Czasami przebija z nich czerstwy humor, jak np.:

Kukulenka, kde si boła,
Ked' ta welka zima boła?
[Kuku, kukuku,
Sedeła som na buku.]

Albo:

Horela lipa, horela
Pod n'ou panienka sedeła,
Ked' na niu iskry padały,
Wszetci mładeńci płakali,
Iba ten jedan nepłakał,
Co ju fałosznie miłował.

Z innych wionie ironia zbolałego serca przy doskonałej formie, jak np. z pieśni:

Ja som teba domu hladał
Teba doma nie boło;
[Ty si žitko dožinała,
Ktere źrete nie boło.]

Ja som teba domu hladał,
Teba doma nie boło;
[Ty si boła žitko wiazać,
A zožate nie boło.]

Ja som teba doma hladał,
Teba doma nie boło;
[Ty si boła žitko zwazać, (zwozić)
A zwiazane (związane) nie boło.]

Ja som teba doma hladał,
Teba doma nie boło;
[Ty si boła žitko mlucić
A zwezene nie boło.]

Ja som tebe doma hladał
Tebe doma nie boło;
[Ty si boła na szałasi,
Hladała si inneho.]

Balady ludowe cechuje siła wyrazów, jędrność dykcyi i zarazem powab prostoty wysławiania się, choć z niej grozą dźwięczy tragedya z życia ludowego. Oto próbka:

Leti, leti roj
Ponad dwor
. . . . . .
Konie szirowali,
Bicz szmarowali,
Dziewcza precz brali.
Ked' szli cez pole,
Plesli na konie:
Obzriže sa, miła,
Hołubiczka siwa,
Wrzetko je twoje,
To szire pole.

„Len som si zabudła,
Len som si zabudła
Wienok w komore;

Wienok w komore,
Persteń na stole;
Persteń je zo złata,
Kremnicka robota! —
Wrati sa, sokole!“

„Ia sa nie wratim,
Radszej zaplatim
Za wienec zeleny,
Za persteń strieborny
Dukata położim.

Śpiewniejszego ludu, jak słowacki, trudno sobie wyobrazić. — Śpiewa on przy każdej sposobności, na każdym kroku. W domu, w karczmie, w polu; przy pracy codziennej, przy każdym obrzędzie i uroczystości; gdy pasie bydło, w szałasie, kiedy je doi; gdy orze, sieje i żnie zboże; na „ceście“, idąc lub jadąc, kiedy w lesie rąbie drzewo, lub spławia Wagiem, Orawą, Popradem, lub Hernadem — śpiewa jak ptaszę, budzony siłą przyrodzoną. W słowackiej pieśni ludowej spoczywają również nieprzebrane skarby ludoznawczej poezyi, skarby gwarowe i odbłyski zaginionej prasłowiańskiej kultury.

Lud iście gołębi, nad którym znęcają się sępy i krogulce madiarscy, lud cichy, potulny, lecz pracowity, oszczędny i niezmiernie zachowawczy i miłujący swojszczyznę, a te chwalebne i dobre jego przymioty tworzą dla niego puklerz obronny, przeciwko razom, skierowanym przeciwko jego duszy narodowej.

Najgłówniejszą i najstateczniejszą twierdzą Słowaków przeciw madiaryzacyi jest rodzina. Przez nią rozumieją oni w pierwszym rzędzie rodziców i dzieci, dziadka i babkę, jakoteż wnuków, w dalszym rzędzie zaś krewnych. Przez żenienie się we własnej wsi i kmotrowstwa spokrewnia się i powinowacieje cała „dziedzina“ pomiędzy sobą tak, iż można ją uważać za rodzinę w szerszem słowa znaczeniu, za rodzinę zbiorową, w której ojcowie, jako głowy właściwych rodzin, rządzą. Pożycie w rodzinie słowackiej bywa zwyczajnie wzorowe, górują w niem wzajemne pocieszanie się i posłuszeństwo wobec starszych. Dom chłopa słowackiego, to zamek warowny — każda wieś słowacka, to forteca narodowa, którą zdobyć napróżno wysila się madiaryzacya, a gdy w walce z nią padają liczne trupy, to przyrodzona siła rozrodcza ludu słowackiego powetowuje sowicie straty narodowe. Słowacy nie miadaryzują się nawet tam, gdzie oazami

żyją wśród madiarów, tem mniej może być więc mowa o tem tam, gdzie żyją w zwartej masie. Na Dolnej ziemi tj. w środkowych i południowych Węgrzech, zwłaszcza między ludnością serbską i rumuńską, posiadają siłę przyciągającą wobec sąsiadów, rozszerzając się kosztem tychże. Obawy więc o zgładzenie Słowaków przez Madiarów niema najmniejszej, mimo najsroższego ucisku i niewoli. Zdaje się atoli, że Słowacy już przebyli czasy najcięższej niedoli. Przy wzmagającym się prądzie wolnościowym nawet na Węgrzech, przy reformie wyborczej, która bądźcobądź prawo wyborcze znacznie rozszerzy i opozycyę w parlamencie węgierskim znacznie wzmoże, dni obecnych feodalnych hegemonów madiarskich policzone. Jeżeli w Turcyi nie mógł się utrzymać absolutyzm sułtański, to na Węgrzech także średniowieczne bezrządy magnatów upaść muszą. Słowacy więc czekają, zanim i dla nich nie wzejdzie zorza sprawiedliwości i wolności narodowej, czekają załogami obronnemi w swoich twierdzach — „dziedzinach".

Stan więc narodowy posiadłości słowackiej po wsiach nie umniejsza się zgoła, owszem powiększa się i rozszerza. Inaczej po miastach i miasteczkach, gdzie wszędzie pokost madiarski jest widomy i gdzie język madiarski, popierany przez szkoły, urzędy, a nawet w części przez kościoły, coraz bardziej się rozszerza. Przyczyną tego główną są żydzi, licznie rozsiedleni po miastach i miasteczkach słowackich, którzy wszędzie garną się tłumnie do madiarów i madiarszczyzną swoją popisują się krzykliwie na każdym kroku. W gospodach, hotelach, restauracyach i kawiarniach, niemniej po sklepach, znajdujących się prawie wyłącznie w rękach żydowskich — wszędzie napisy madiarskie, wszędzie panuje język madiarski, którym też zmuszeni mówić wszyscy, w jakiejkolwiek znajdujący się zależności od rządu i władz rządowych. Żydzi zmuszają służbę do używania języka madiarskiego. Tym sposobem dzieje się, że gdy się przybędzie do jakiegokolwiekbądź miasta lub miasteczka na Słowaczyźnie, w hotelu, restauracyi, w kawiarni, po sklepach, a nawet na ulicy, odczuwa się wrażenie madiarskiej miejscowości, które przy nieco bliższem rozpatrzeniu się w stosunkach miejscowych, znika. Jest to bowiem tylko wymuszony pokost madiarski, nic więcej. Lecz istnieją na Słowaczyźnie miasta, w szczególności większe, jak Nitra, Tyrnawa, Koszyce i inne, które są dobrze podmadiaryzowane. Wybitnie słowackich miast nie wiele, a te, które są, na-

leżą do mniejszych, jak Turczański św. Marcin, Liptowski Święty Mikulasz, Skalica, Senica, Rużombork, Zwoleń, Dolny Kubin i inne jeszcze. W Turczańskim Świętym Marcinie, mieścinie z 5000 ludności, posiadają Słowacy nawet większość w radzie miejskiej, co na Węgrzech wogóle do wielkich rzadkości należy, lecz rząd komitacki ubezwładnia wszystką działalność narodową tych białych kruków pomiędzy władzami autonomicznemi.

Na polu piśmienniczem panuje pomiędzy nami a Słowakami bardzo luźny związek, tak luźny, iż o wzajemności pod tym względem prawie mowy być nie może. U nas piśmiennictwo słowackie tak dobrze, jak nieznane. Poeci i pisarze tej miary, jak: Hvězdoslav, Hurban-Vajansky, obydwaj Sladkoviče, Botto, Kalinčak, Kukočin, Jesensky, Šoltesowa, Samolicky, Podjavorinsky i inni zasługiwaliby, żeby się z nimi zapoznała polska czytająca powszechność. Przekładów ze słowackiego nie posiadamy, o ile mi wiadomo, prawie nic, z wyjątkiem jednego lub dwóch utworów powieściowych Kukočina. W słowackiem piśmiennictwie równie bardzo mało przekładów z polskiego, zaledwo dwie lub trzy komedye Fredry („Panieńskie śluby", „Damy i Huzary"), kilka drobniejszych utworów Sienkiewicza i Prusa, Słowackiego: Ojciec zadżumionych i w Szwajcaryi, kilka drobniejszych utworów Mickiewicza — i oto prawie wszystko. Nawet „Quo vadis" Sienkiewicza, tłomaczone na wszystkie języki europejskie, nie doczekało się jeszcze przekładu słowackiego. Jest to bardzo mało. Mało kto z Słowaków może nabywać książki polskie. To ich tłomaczy. Trzebaby im nadsyłać doborowsze nasze wydawnictwa, a z pewnością byłoby z ogromną korzyścią dla Słowaków, gdyby się bliżej i lepiej zapoznali ze skarbami piśmiennictwa polskiego, co nawzajem dla nas miałoby tę korzyść, iż wpływ nasz piśmienniczy przy żywej wzajemności literackiej utrwaliłby się w piśmiennictwie narodu nam tak bliskiego, a właściwie ludu odrosłego z naszej krwi i kości, graniczącego z nami przez Tatry, nam i Słowakom równie drogie, do których poeta słowacki Zaboj Hostinsky, jakoby w naszem przemawiał imieniu, woła:

> Czimste w prawiekach boły Tatry nasze?
> Koliskou narodom.
> Czim budu swietu swatie hradby (twierdze) wasze?
> Myślenok (myśli) wychodom.

Kdo waszich duchow tajemstwo wywieszti?
Zrodeny syn Tatier.
A kdo zrozumie słowa tych powiesti?
Wybrany bohatier.
Czo wasze wichry, blesky, wody, szumy?
Chory piesni ludu.
Czi wasze tużby (pragnienia) ostanu len (tylko) dumy?
Hlasom žitia budu!

Były kolebką narodów — obecnie niechaj skalne ich turnie i wierchy staną się opoką wzajemności dwóch bratnich narodów i najbliższych sąsiadów. Biegiem Orawy w kilku godzinach dotrzeć możemy koleją do serca Słowaczyzny, starajmy się więc dotrzeć do jej serca!

G. Smólski.

Dolny Kuben na Orawie w sierpniu 1908.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Pogłoska rzucona niedawno przez *Neue freie Presse*, jakoby już dochodziło do ugody polsko-ruskiej, wywołała w prasie i polskiej i **ruskiej** nie małe zamieszanie. Zajrzyjmy do pisma najumiarkowańszego. *Ruslan* omawia tę kwestyę na swych szpaltach kilkakrotnie, a do ciekawszych artykułów w tej sprawie należy „Suczasne położenie Rusyniw i mnymi uhodowi perehowori“. Zamieszanie z powodu tej pogłoski —, pisze *Rusłan* — świadczy najlepiej o tem, jak niezdrowo i bez wyjścia ułożyły się stosunki w Galicyi. Takiemu stanowi rzeczy nie można się wcale dziwić, skoro się weźmie pod uwagę, że ostatnie dziesięć lat zaciemniły tylko polityczne stanowisko Rusinów i napiętrzyły trudności na drodze rozwoju narodowego i kulturalnego. A oto w jaki sposób do tego położenia doszło. Około 1890 r. pojawili się po raz pierwszy Rusini narodowcy z całkiem jasnym programem, ale zamiast zabrać się do pozytywnej pracy, oni przeszli do opozycyjnej polityki i najwięcej sił zużyli na popularność. Skorzystawszy z tego, niby w imieniu poprawy polityki ruskiej, ukazali się teraz moskalofile. Napierani z jednej strony przez moskalofilów, a z drugiej przez Polaków, nie potrafili się Rusini narodowcy utrzymać na raz obranem stanowisku i rozpoczął się czas konsolidacyi. Era konsolidacyjna trwała dziesięć lat. Przyniosła ona Rusi zanik poczucia narodowego u szerokich mas, bałamuctwo polityczne i rozwój renegactwa, t. j. rozwój stronnictwa moskalofilów. Polityka agitacyjna, bez planu, bez realnej podstawy, podniosła moskalofilów i stworzyła socyalizm, z którym połączyła się opozycya, by nie stracić na popularności. Pierwsze też z powszechnego głosowania wybory do Rady Państwa powołały moskalofilów, radykałów i socyalistów. Era

konsolidacyjna dopomogła wreszcie do tego, że moskalofile zdołali założyć w parlamencie osobny „Russischer Klub“, ogłosili się za konserwatystów i dążących do zgody z Polską, co im znów w sejmie przyniosło znaczne korzyści. Rada Narodowa polska i opinia połączyła się teraz jawnie z nimi, a wyrazem tej sympatyi były manifestacye w Radzie Państwa i na zjeździe wszechsłowiańskim w Pradze. Propaganda moskalofilstwa wśród młodzieży szkół średnich i ludności wiejskiej rosła, a we Lwowie moskalofile przyjmowali owacyjnie Rosyan, wracających z wystawy praskiej, jako swych współplemieńców. Założono gazetę w celu propagowania prawosławia, aranżowano wycieczki do Poczajowa i Kijowa, młodzież wysyłano na uniwersytet warszawski. Teraz dopiero po stronie ruskiej i polskiej przyszło do upamiętania. Narodowa demokracya ruska zabrała się co sił do roboty, ale prócz imienia hajdamaków nic nie zyskuje, prasa polska nie raczy przyznać Rusinom słusznych narodowych praw, a tymczasem radykali już nawet w Klubie ruskim mają większość. Po niewczasie, ale przecież domyślili się polscy politycy, że moskalofile czyhają tylko na to, by módz Polskę wyzyskać, a potem zdradzić i przejść na stronę Rosyi. Oto przyczyny, które wprowadziły politykę w błędne koło, a opinię przywiodły do zniechęcenia i dzisiejszego pesymizmu. *Rusłan* nie wątpi w dobry koniec rozpoczętego dzieła, ufa, że obopólne przykre doświadczenia wydadzą korzystny owoc; Ruś będzie mniej marzyć i mówić, a więcej prawdziwie robić, a Polska przestanie Rusi w rozwoju narodowym przeszkadzać.

Z tych wywodów *Rusłana* pocieszającem jest to, że uznaje fatalne skutki pogoni za popularnością, która wytwarza politykę bez planu i realnej podstawy. Szkoda, bardzo szkoda, że sam *Rusłan* nie może mieć sumienia czystego co do bałwochwalstwa popularności (wszak i on Siczyńskiego mienił „herojem“); jeżeli się poprawi i zdobędzie na odwagę cywilną, może się najlepiej przysłużyć rodakom. A co do polskiego związku z „moskalofilami“, polega on na dwóch tylko przesłankach:

a) wolno każdemu należeć do narodowości, do jakiej mu się podoba,

b) lepszy moskalofil ze swoją propagandą „jedności kulturnej“, niż ukrainofil z nożem i rewolwerem w ręku.

Nic więcej w tem niema. Wysnuwanie z tego jakichś wielkich kombinacyj politycznych byłoby doprawdy dyletantyzmem politycznym i z ludzi poważnych nikt się w to nie zapuszczał.

Toteż niepotrzebnie puszcza się na te fale *Rusłan*, komentując mowę hr. Dzieduszyckiego, wygłoszoną przed wyborcami w Samborze. Podchwytuje hrabiego na słówka i wyprowadza stąd daleko idące konsekwencye: Dzieduszycki dotychczas sądził, że oba narody mogą wspólnie działać i żyć, teraz jednak przekonał się, że to niemożliwe, każdy naród musi myśleć tylko o sobie. Co zaś do ugody rusko-polskiej, jest ona możliwą tylko wtedy, gdy Rusini, pracując nad rozwojem swego kraju, nie będą równocześnie pracować nad zgubą Polski. Takimi ludźmi są Starorusini. *Rusłan* twierdzi, że Dzieduszycki dlatego mówił o osobnem życiu obu narodów, bo posłowie ruscy zyskują pewne ustępstwa u rządu. Ruś na rozdział zgodziłaby się chętnie, ale tego, jak ognia, boją się Polacy; sam Dzieduszycki wbrew powyższej przemowie, położył

stanowcze veto przeciw rozdziałowi Galicyi na prowincye wschodnią i zachodnią. Z jednej strony mówi, że Polacy powinni się nie wtrącać do Rusi, a z drugiej bierze w opiekę „starorusinów", dlatego, że „szczerze pracują dla dobra Rusi". I *Rusłan* dobrze wie, dlaczego Dzieduszycki schlebia starorusinom; chce on przez starorusinów pogodzić się z Rosyą, przez Rosyę połączyć się z Francyą, a potem z Rosyą i Francyą walczyć z Niemcami.

Stanowczo za daleko i za szeroko! Szkoda na to czasu i wolelibyśmy, żeby *Rusłan* powiedział nam, co sam myśli o rozdziale Galicyi i czy przyjmuje ten punkt jeszcze do swego programu, żeby się nie różnić od innych, szczęśliwszych popularnością?

O *Dile* pod nową redakcyą niema do powiedzenia nic nowego jeszcze — a stare rzeczy zbyt znane. Jeżeli nowi ludzie w głównym organie ukrainofilskim sądzą, że uda się pozyskać kogokolwiek z Polaków bez zrywania z kimkolwiek z Rusinów — pomylą się oczywiście.

Wiadomo, jak prasa ruska ohydny czyn Siczyńskiego podnosiła do bohaterstwa. Obecnie, gdy obrona przeparła oddanie go pod obserwacyę lekarską, ton jej zrzedł znacznie. N. p. *Bukowyna* czując kompromitacyę, a chcąc sytuacyę ratować, zdobywa się na nowy argument: „Ruska suspilnist ne robyła Siczyńskoho nacjonalnym herojem, ale i ne uważaje jeho zwyczajnym złoczyncem. A miż bożewiłem (waryatem) i moralnym prymusom, szczo w nadwrażływij duszi rodyt sia naslidkom zownisznych ostawyn, je kolosalna riżnycia".

Wnosząc z *Bukowyny*, należałoby nabrać przekonania, że ruskiej suspilności nie mogą ufać nietylko Polacy, ale właśni ruscy bohaterowie. Ogłosi ona kogoś bohaterem i zanim minie to samo lato, powie, że go nigdy bohaterem nie robiła!

Ciekawy z powodu zjadliwej treści, wymierzonej przeciwko prasie polskiej, jest artykuł „Polski rozbyszaky pera", umieszczony w *Narodnem Słowie.* W dziennikarstwie polskiem widzi *Narodne Słowo* zupełny upadek moralny, ciągłe podjudzanie czytelnika na Rusinów, dzięki czemu społeczeństwo polskie staje się podobnem do gromady dzikich zwierząt. Do nieprzebłaganych wrogów Rusi należą Sienkiewicz, Paderewski; Zdziechowski robi donosy na Rusinów po rosyjsku, Smolka po niemiecku, — a Rawita Gawroński po francusku. Nie dość na tem, istnieją jeszcze osobne gniazda antiruskie i tak: „Polskie biuro korespondencyjne" w Paryżu, petersburska *Ruś,* a w Wiedniu *Polnische Post* i *Polnische Korrespondenz.* Najwięcej krwi Rusinom napsuł w *Polnische Post* Jan Zamorski, który na jej szpaltach śmiał umieścić artykuł o Szewczence. *Narodne Słowo*, odparłszy szczęśliwie wszystkie powyższe zamachy na cześć i życie Rusi, kończy zjadliwie: „niejedno jużeśmy przeżyli i przeżyjemy jeszcze niejedno, a papierowe bomby bajczarzy nie zgubią nas".

Może p. Zamorski przesadził w niejednem i nie bardzo objektywnie pisał, ale w tem miał jednak słuszność, że trzeba się zabrać do rewizyi kultu Szewczenki. Powinienby kto z Rusinów sam wyjaśnić stanowisko poety wobec ideałów religijnych i społecznych. Jeżeli pojawiające się z polskiej strony coraz częściej głosy, że kult Szewczenki musi

działać destrukcyjnie na ruskie społeczeństwo, nie mają słuszności, jest rzeczą ruskich historyków literatury wykazać, że muza narodowego poety uszlachetnia umysły ruskiej młodzieży. Można bowiem być rymotwórcą znakomitym, a szkodliwym przy tem pisarzem.

Tymczasem zaś najbardziej ludowy z poetów świata całego nic a nic nie wpłynął na podniesienie umysłów swego ludu, a wielbiciele jego radziby wznowić wśród tego ludu hajdamaczyznę. Kto chce wiedzieć, jak sobie Rusini wyobrażają swój stosunek do Polaków, niech czytuje pisma ruskie ludowe. Tam znajdzie szczerość bez osłonek. *bk.*

Prasie **rosyjskiej** reakcyjnej gorżko się zrobiło, bo *Ruś* powstała z popiołów, jako *Nowaja Ruś*. W pierwszym jej numerze odezwał się A. A. Suworin (syn) w te słowa:

„Że *Ruś* już nie będzie więcej wychodziła, to było zdecydowane przez wszystkich, komu była ona nie na rękę. Gazeta przestała wychodzić, gazeta, chwała niebu, zabita. *Ruś* wyjdzie znowu? Nie, nie może wyjść gazeta, której pasywa wynoszą milion. Istotnie, *Ruś* nie wychodzi. Ale zato wychodzi *Nowa Ruś*. Wydawnictwo jest inne, ale ci, co chcieli zamknąć usta pismu, nie mają stąd żadnej korzyści. Gdy ludzie mają rzeczywiście coś do powiedzenia, zawsze znajdą sposób i czas, by to uczynić. Galileusz, przyprowadzony przez inkwizycyę na miejsce stracenia, potrafił i zdążył powiedzieć: „A jednak się porusza“!... I nie potrzebował nic więcej powiedzieć dnia tego, gdyż owych kilka słów utrwaliło się w pamięci na całe tysiąclecia. Jeżeli gazeta nasza musi wyrzec się wszelkich form kredytu handlowego, ażeby zachować swą niezależność, *Nowa Ruś* uczyni to, a nawet już uczyniła. Gazeta jest wolna od wszelkiego kredytu w bankach, będzie zupełnie niezależna od nich i... będzie wydawana... Z maleńkiego zła wyszło wielkie dobro dla gazety“.

W *S. Piet.-Wied.* znany reakcyonista, należący do skrajnej prawicy, szlachcic Pawłow wypowiada swoją opinię o obecnym stanie rzeczy w Rosyi. Bardzo ciekawem jest potwierdzenie przez osobistość tak kompetentną faktu, że prawica otrzymywała subsydya rządowe. Oto, co pisze ten działacz reakcyjny, którego w danym wypadku o stronniczość w żaden sposób posądzać nie można:

„Prawica zaczyna się godzić, jeśli się już nie pogodziła, z istniejącym pół-ustrojem. Prócz strasznego rozłamu wśród przywódców, na rozpadanie się prawicy oddziałał ogromnie „rozumny“ krok rządu w roku 1907, który dał „związkowi narodu rosyjskiego“ pieniądze skarbowe. Rok cały, a nawet więcej, dawał rząd pieniądze „na sprawę agitacyi wyborczej“. Od chwili, gdy przywódcy zaczęli brać subsydya, olbrzymia sprawa ideowa i cały nastrój prawicy, niebywały w historyi innych państw, zachwiały się i grożą ruiną.

„Most pieniężny, przerzucony przez Petersburg w głąb samoistnej, żywej, namiętnie wierzącej w swą sprawę organizacyi, powiązał dwa brzegi przeciwne, dwóch antypodów co do uczucia i myśli. Wodzowie prawicy, przyjąwszy ten most, zawczasu tem samem przygotowali swoją porażkę. Nie wielka jest już teraz wartość wojowniczych gróźb prawicy. Był czas i to bardzo blizkiego nawet zwycięstwa, ale wypuściło się je z rąk, a teraz

potrzebne są wysiłki heroiczne, by napowrót zdobyć poważną i silną niedawno pozycyę. Czy starczy sił i energii?

„Czy skończy się posucha? Czy p. Krzyżanowskij przestał karmić związek pieniądzmi? Czy odezwie się jeszcze Moskwa? Podczas tej zimy rozstrzygnie się los prawicy. W każdym razie, czy prawica zwycięży, czy też nie, rozmaicie się nazywające części dawnego „związku narodu rosyjskiego“ stracą swe nazwy i rozpłyną się wśród ludności, formując wśród niej odłam wybitnie konserwatywny. Może odłam ten będzie nawet nieprzejednanym w swej wierze politycznej i stanie się politycznemi „staroobrzędowcami“. Przecież ci ostatni przetrwali i żyją. Wszystko zależy od liczebności tej części ludności i od organizacyi, której uda się ją skupić w jedną całość“.

Marzy więc p. Pawłow o jakiemś odrodzeniu prawicy! Ale jak pogodzić prawicę z opozycyjnością? Jak ze sprawą polską?

Wyrzucenie Polaków z posad nauczycieli języka rosyjskiego, geografii i historyi w szkołach nawet prywatnych Królestwa Polskiego — nie przeszło bez echa w uczciwej prasie rosyjskiej. *Słowo* petersburskie zwróciło uwagę, że przepis ten wydano nieformalnie i niezgodnie z artykułem 92 praw zasadniczych. Co więcej, zakaz ten — istniejący od tak dawna do wszystkich przedmiotów — nigdy wogóle nie był sformułowany prawnie.

„Do zakładów naukowych prywatnych w okręgu warszawskim stosuje się cały szereg praw (§ 3742—3775 tom XI cz. I zbioru praw wyd. 1876 r.) i napróżno szukałby tam ktoś zakazu wykładania jakichkolwiek przedmiotów po polsku. Taki zakaz mógłby być wydany tylko w drodze prawodawczej, to jest nie inaczej, jak za zgodą Dumy Państwowej i Rady Państwa“.

Urzędowa *Rossija* odparła zaraz, że tu wszystko jest w porządku, bo przepis „nie dotyczy nowych norm, a tylko wskazuje granice stosowania istniejących“. Bo też prawdziwie nigdy w Rosyi nie obowiązywały ustawy, tylko „normy“ czynownicze, wywracające ustawy na nice, nie zapisane nigdzie w żadnej księdzie praw. I tak ma pozostać nadal zdaniem *Rossiji*.

Czy prawica miałaby „skupić się w jedną całość“ przeciw prasie urzędowej?! Przy pierwszej próbie rozbiłaby się.

Trudniej natomiast przypuścić, żeby jej mogła grozić rozbiciem sprawa polska. Tu można dla zachowania decorum pozwolić sobie na bardzo liberalne słowa, zaręczyć, że one obowiązują, a potem dodać wyjaśnienie bliższe (coś nakształt „normy“ czynowniczej do ustawy), z którego wyniknie, że „zobowiązanie“ nie obowiązuje do niczego:

Uczestnik konferencyi praskiej, hr. Włodzimierz Bobrińskij, obrał sobie *Nowoje Wremia* za organ do swych wynurzeń z wycieczki po Galicyi. Dochodzi do tego wniosku, że najpierw musimy my tu w Galicyi uznać Rusinów Rosyanami, dać im wszystkie prawa i przywileje, a potem dopiero moglibyśmy domagać się wzajemności od Rosyi. Sądzimy, że kto się chce wykręcać, znalazłby wykręt także „potem“.

Jestto ten Rosyanin, który wyrzekł w Krakowie te słowa: „Rozumiemy krzywdę, jaką wam wyrządzamy“.

Formuła hr. Bobrinskiego jest zaiste dowcipna. Żąda on, żebyśmy w Galicyi prześladowali język ruski („ukraiński“), — a gdybyśmy się do

tego zabrali, powiedziałby, że prześladujemy „będących właściwie Rosyanami“. Uznać Rusinów Rosyanami, to znaczy np. pozamykać gimnazya ruskie, a dać natomiast rosyjskie? Póki bowiem istnieje w Galicyi choćby jedna szkoła ludowa ruska, — zawsze może to posłużyć za dowód, że jeszcze nie uznajemy Rusinów Rosyanami.

My pozostawiamy Rusinom wolność przyznawania się do jakiejkolwiek narodowości. Ci, którzy się uważają za Rosyan, niech się starają w Wiedniu, żeby język rosyjski uznano za „krajowy“, a wtedy (ponieważ są znacznie kulturalniejsi od ukrainofilów) dojdą z nami łatwiej do ładu, niż my z czynownictwem i umiejącą kręcić „słowami obowiązującemi“ prawicą.

Z powodu powołania policyi do udziału w dozorze nad pozaszkolnem zachowaniem się uczącej się młodzieży, podała *Riecz* następujące słuszne uwagi:

„Dość wspomnieć o takim nadzorze, ażeby każdemu z nas stanęły przed oczyma obrazy niedawnej przeszłości, gdy nadzór ten wykonywany był z taką zajadłością, gdy rozciągał się nietylko do zachowania się młodzieży poza murami szkoły, lecz wciskał się do sfery rodzinnego życia, gdy nadzór władzy gimnazyalnej ściskał swemi obezwładniającemi kleszczami nawet stosunek rodziców do dzieci... Zdawało się, że wszystko to trawą zapomnienia zarosło, że system ten dał tak namacalne skutki, nagromadził tyle wzajemnej nienawiści, kłamstwa i obłudy, że o powrocie do tego samego systemu mowy być nawet już nie powinno. A gdy zaczęto tworzyć komitety rodziców, gdy zaczęto czynić starania około należytego zjednoczenia rozbitego współżycia rodziny i szkoły, starać się o rozbudzenie wzajemnego zaufania, wówczas zakreślono nowe drogi... Ale ponieważ komitety rodziców powstały w „epoce rewolucyjnej“, a wszystko, cokolwiek związane jest, choćby chronologicznie, z „rewolucyą“, już przez to samo zniesionem być musi, przeto i ta instytucya ma być w istocie swej zniweczoną. Komitety mają umrzeć na śmierć suchotniczą. Trzeciej zaś drogi wyjścia nie ma, przeto naturalnym biegiem rzeczy powróciło ministeryum do dawnych praktyk niezaufania i nadzoru“.

Słowo petersburskie zamieściło artykuł wstępny, w którym dowodzi konieczności reform dla Królestwa Polskiego, a który przytaczamy w całości:

„Konieczność reform dla Królestwa polskiego odczuwał sam rząd przez cały czas ostatnich lat 40. Niejednokrotnie zwoływane były rozmaite komisye i opracowywane rozmaite projekty. Jeśli zaś w ślad za tem nie szły reformy, to nie dlatego, że były one przedwczesne, ale dlatego, że ci, co mieli reformować, nie posiadali dobrej woli.

„Rezultaty tego braku woli były jak najbardziej opłakane dla Królestwa Polskiego. Nie wchodząc w szczegóły, wskażemy tylko choćby na to, że Królestwo Polskie w dziedzinie sądownictwa pozbawione jest sądów przysięgłych i zadowalnia się sędziami koronnymi, którzy zwykle źle znają język miejscowy, lub nawet wcale go nie posiadają. Postawienie kwestyi szkolnej w Królestwie Polskiem doprowadziło do zupełnego upadku szkoły wszystkich typów i obniżenia procentu uczniów wśród ludności katolickiej. Bogaty kraj rolniczy, z rozwiniętym przemysłem, zupełnie pozbawiony jest

samorządu miejskiego i ziemskiego, którego doskonałe zaczątki w postaci gmin zupełnie są paraliżowane przez działalność władz powiatowych i t. d. i t. d.

„W takim stanie Królestwo Polskie egzystuje do 4. października 1905 roku i zupełnie jest naturalne, że reakcya ludności przeciwko takiemu systemowi rządzenia była tu silniejsza, niż w innych częściach kraju. W okresie ruchów ludowych, który później nastąpił, nie można było mówić o powyższych reformach w Królestwie Polskiem; nie przyjętoby ich, ludność miejscowa nie zadowolniłaby się niemi, gdyż dążenia jej szły znacznie dalej.

„Warunki te krańcowo się zmieniły od tego czasu i teraz nastała jak najbardziej pomyślna chwila do podjęcia kwestyi reformy rządzenia Królestwem Polskiem. Chwilę tę charakteryzuje z jednej strony uspokojenie kraju, co się stało już jasnem i dla rządu, z drugiej zaś strony gwałtowne obniżenie wymagań polskich sfer społecznych i politycznych.

„Właśnie teraz, gdy kwestya autonomii polskiej, która wytwarzała przepaść pomiędzy społeczeństwem polskiem a rosyjskiemi sferami rządzącemi, zniknęła dla obu stron z porządku dziennego poza zakres dostrzegalnej przyszłości, gdy obie strony uświadomiły sobie i poczuły realną niemożliwość pozostania na poprzednich wrogich stanowiskach – właśnie teraz wytwarza się położenie, które obowiązuje do przystąpienia do reform w Królestwie Polskiem.

„W sprawie tej Polacy wypełnili nawet szczególne żądanie: „niech oni pierwsi zaczną“. Jesteśmy obecni przy narodzinach u Polaków niewątpliwego patryotyzmu ogólnopaństwowego. Polscy działacze polityczni uroczyście oświadczają, że podstawą do dalszego rozkwitu narodowości polskiej jest związek państwowy Królestwa Polskiego z Rosyą, że jednem z zadań partyi polskich musi być energiczne podtrzymywanie potęgi cesarstwa rosyjskiego.

„Opuścić chwilę takiego nastroju wśród społeczeństwa polskiego byłoby nietylko grzechem wobec historyi, ale i wielką pomyłką państwową. Trzeba skorzystać z niej dla interesów cesarstwa. Ale przytem konieczne jest wykazać istotny rozum państwowy, odrzuciwszy, idąc za Milutinem, wszelkie cele uboczne, któreby mogły tylko ostudzić nastrój i wywołać nieufność. Przy rozważaniu kwestyi reform w Królestwie Polskiem należy odrzucić przedewszystkiem wszelkie podejrzenia, trzeba widzieć i pamiętać tylko cele przyszłe, z których jednym jest wielkość państwa, a drugim szczęście jego ludów.

„W świetle tych celów odpada jeszcze niedawno stosowany podział obywateli cesarstwa rosyjskiego na stopnie i kategorye. Reformy w Królestwie Polskiem powinny być oparte na zasadzie równości wszystkich obywateli bez różnicy ich pochodzenia narodowego. Półobywatel lub obywatel drugiego stopnia nie może być dobrym patryotą“.

Z artykułów poświęconych polityce zewnętrznej, najciekawszy był artykuł znanego dawnego redaktora *Oswobożdenia*, Struwego, zamieszczony w petersburskiem *Słowie*, z powodu przewrotu w Turcyi:

„Co to oznacza? — pyta Struwe. — A to, że międzynarodowe położenie Rosyi zmieniło się po przewrocie w Turcyi. Turcya osłabia stano

wisko Rosyi na Dalekim Wschodzie, gdyż mieć na dwóch przeciwległych końcach takich sąsiadów, jak silną Turcyę i silną Japonię, oznacza... być ściśniętym z dwóch końców".

Z tego położenia — zdaniem Struwego — może tylko wyprowadzić Rosyę niezwykłe natężenie wszystkich sił wewnętrznych. Tymczasem, zamiast tego, po rewolucyi przeciwpaństwowa reakcya zabija wszystkie siły wewnętrzne narodu. „Każdy dzień—pisze Struwe— może przynieść nam wielkie próby. I strach zdejmuje, gdy się pomyśli o tem, z jakim nagromadzonym znowu kapitałem wściekłości wejdziemy w okres tych nieuniknionych prób. Tymczasem Rosya jeszcze nigdy tak nie potrzebowała „podniesienia ducha narodowego" w chwili haseł nikczemności i wymuszeń do podłości. Wewnętrzna reakcya jest jeszcze niebezpieczniejsza dzisiaj, niż przed wojną japońską. Zabija ona i rozkłada państwo u podstaw".

Znamienną dla stosunków redakcyjnych prasy **czeskiej** jest odezwa czeskiej Rady Narodowej, rozesłana do pism z datą 16 września br. „W ostatnim czasie pojawiły się znowu wśród ogółu rozmaite wiadomości, tyczące się Rady Narodowej czeskiej, przy czem domagano się, żeby się wdała w rozmaite sprawy, a nawet czyniono jej wyrzuty z powodu rzekomego zaniedbania i t. p.". Nowo wybrany komitet główny (centralny) Rady Narodowej zwraca się przeto do ogółu i tłumaczy mu nie poraz pierwszy, że Rada nie może być gadulską, lecz przeciwnie, musi działać po cichu (przynajmniej aż do pewnego stadyum danej sprawy), a więc nie można żądać od niej, żeby ogłaszała sprawozdania po gazetach. Rada bardzo jest wdzięczna za wszelkie uwagi, wskazówki i t. p., ale prosi tylko, żeby to robiono za pośrednictwem poczty listowej, a nie gazet, bo publikowaniem szkodzi się rzeczy, ubija się ją nieraz, odkrywając karty publicznie przed nieprzyjacielem (tj. przed Niemcami). Przestroga zwraca się atoli nietylko do naiwnych polityków z pośród czytelników gazet, a więc z pośród najszerszej publiczności, ale również do samych redakcyj, które przecież nie powinny być naiwne. Czytamy na końcu odezwy: „Toteż wydział główny (komitet centralny — ustředni výbor) zwraca się niniejszem także do wszystkich redakcyj (podkreślono w oryginale) pism czeskich z przyjacielską prośbą, ażeby chcąc pisać o jakiejś akcyi, do której wzywają Radę Narodową, wywiedzieli się przedtem łaskawie w naszem gronie, czy już nie robi się czego w tej rzeczy, a tak zapobiegnie się często wielu nieporozumieniom i niesprawiedliwym wyrzutom, a jeszcze częściej uniknie się zwracania na sprawę uwagi naszych przeciwników narodowych. Mamy otuchę, że otwarte te nasze słowa będą właściwie zrozumiane i spełnione".

Główny dziennik czeski, *Narodní Listy*, zadąsał się na nas wielce za artykuł wstępny w ostatnim zeszycie, ale koniec końców stało się to, czegośmy chcieli, bo zjazd dziennikarski przyjął formalnie uchwały konferencyi praskiej, a głównym referentem tej sprawy był nawet jeden z redaktorów tego pisma, p. Holeček, którego osobiście cenimy. I niebrak wogóle w redakcyi *Nar. Listów* ludzi, którym nie odmawiamy szacunku— tylko, że oni razem dziwnie jakoś chodzą. Na brak wszelkiego porządku w redakcyi *Narodnich Listów* zwracamy uwagę od dawna. Damy nowy

przykład, co się tam wyprawia: Otóż p. H o l e č e k powiedział w Lublanie dużo rzeczy bardzo ładnie, a tymczasem po tem wszystkiem, d. 10 września, w Nrze 250 użyto w dzienniku na oznaczenie Królestwa Polskiego nazwy „P o v i s l i“ tj. „Priwislinje“. Ależ to już drastyczny przykład nietylko braku ładu, lecz wprost anarchii w redakcyi! Co jeden zrobi, to drugi odrabia; co jeden powie, to drugi odwołuje; komuż więc wierzyć i jak wierzyć?

Anarchii towarzyszy ignorancya. Np. nazwy: Priwislinje — Povisli, używa się prawdopodobnie z ignorancyi, niewiedząc, co się w niej mieści.

Przy sposobności owych dąsów pokazał się znowu brak informacyi a mianowicie, co do stosunków redakcyjnych *Świata Słowiańskiego*, co do autorstwa pewnych artykułów i t. d. Wyjaśnilibyśmy po koleżeńsku i powiedzielibyśmy szczerą prawdę, gdybyśmy mogli ufać, że będziemy już dobrymi przyjaciółmi; ale skoro się mamy gniewać, wolimy, że *Nar. Listy* mają o nas fałszywe informacye, ciesząc się za to podwójnie, że my o nich posiadamy tak dobre.

Ale jakie to charakterystyczne, że g ł ó w n y dziennik czeski ani nawet z Krakowa nie ma należytych informacyj. Co za lenistwo redakcyjne!

Pisaliśmy już raz, że główną przyczyną, dlaczego *Nar. Listy* opierają się na *Nowem Wriemieniu*, jest po prostu lenistwo. Wracamy zaś do tego, bo w polemikach wakacyjnych z nami poucza nas dziennik czeski w Nrze 235, czem jest *N. Wr.*, co to za pismo, jakie duże, a jakie bogate! Ależ wiemy, wiemy! Ale czy *Nar. Listy* wiedzą, z jakich brudnych źródeł powstało to bogactwo i czem się pomnaża? Oczywiście nie wiedzą, (boby inaczej nie chwaliły *reptilii* i nie chciały być jej czeskiem wydaniem), a więc znowu przykład ignorancyi.

Prawdę rzekłszy, nie martwimy się tem, że prasa czeska zainteresowała się naszym artykułem wstępnym z poprzedniego zeszytu, a artykuł *Plzeňských Listów* wprawił redakcyę *Nar. Listów* w zakłopotanie. Wszak i to było „zakłopotaniem dobroczynnem“, które wyszło na dobre. I tak krok po kroku my dojdziemy do porozumienia. Już p. H o l e č e k powiedział głośno na całą Słowiańszczyznę (w Lublanie), że należy nam się w Kongresówce język polski urzędowy. Teraz nie chodzi już o nic innego, jak tylko o to, żeby kto z kolegów redakcyjnych nie zdezawuował p. H o l e č k a (np. ten, który wymyślił nazwę: P o v i s l i). Dla wprowadzenia większej jednostajności i konsekwencyi byłoby dobrze, żeby choć jeden z redaktorów *Nar. Listów* nietylko pisywał do nich, ale też czytywał je i to, o ile możności, codziennie. To nie żart; mówimy to całkiem poważnie i wiemy, że rada jest zupełnie na swojem miejscu. Życzymy *Narodnim Listom* dobrze, życzymy majątku jeszcze większego, niż ma *Now. Wremia* (i owszem — przecież nie jesteśmy pismami „konkurencyjnemi“), a że chcemy przy tem, żeby pisywały mniej więcej tak, jak pisuje *Świat Słowiański*, to zrozumiałe i to można nam wybaczyć. Bądźcobądź, sama redakcya *Nar. Listów* musi przyznać, że (chociaż wśród dąsów) zbliża się do nas coraz bardziej.

A teraz zróbmy jeden układ, mały, drobny, na próbę dalszych, coraz lepszych stosunków.

Jeżeli *Nar. Listy* przez kwartał nie użyją ani razu przykrego nad wszelki wyraz dla Polaka i obelżywego niemal czynowniczego wyrażenia: Priwislinje (Povisli), damy o tem znać naszym czytelnikom z całą lojalnością. Ale jeżeli *N. L.* nie zaprzestaną używać tego wyrażenia (które nie po raz pierwszy, a więc nie przypadkiem tam się znalazło), będzie Warszawa zmuszona poinformować się w Czechach, czy to Czechom na rękę, że *Narodni Listy* wyzywają przeciw nim opinię polską? Można się założyć, że w takim razie cała prasa czeska i wszystkie korporacye stanęłyby po stronie *Świata Słowiańskiego*.

A teraz, skoro w Lublanie na zjeździe dziennikarzy stało się tak, jak chcieliśmy — do dawniejszych grzeszków *Nar. Listów* wracać już nie będziemy i jeżeli nowych nie odkryjemy, może być zawieszenie broni.

O nowem grupowaniu się stronnictw czeskich (które przewidujemy od dawna) mamy do zapisania dwie pogłoski: Dwie grupy zowiące się „radykalnemi“ (ale to bardzo spokojni ludzie), a mianowicie radykalnie-prawnopaństwowa (radikalně-státoprávní) i radykalnie-postępowa (radikalně-pokroková) mają się złączyć całkowicie, tak, że nawet wydawane przez nie *Samostatnost* i *Radikalní Listy* złączonoby w jedno wspólne wydawnictwo. Pod koniec zaś września donosi *Pravo Lidu*, że przy najbliższych wyborach do praskiej Rady miejskiej rozerwie się dotychczasowy kompromis staroczechów z młodoczechami, a będzie natomiast zawarty inny: staroczechów z radykałami. *Den*, zapisując tę wieść, oświadczył, że zdałoby się izolować młodoczechów. — A więc *Den* nie zalicza już siebie całkiem do obozu młodoczeskiego.

Nastają czasy stronnictw o programach wybitnych i bardziej politycznych, niż społecznych. Czem głośniej Niemcy domagają się rozdziału Czech, tem bardziej wybija się wśród Czechów na nowo program prawnopaństwowy, (státoprávní), którym operowali już raz staroczesi, a który potem akcentowała tylko mniej liczna grupa z obozu pod względem taktyki i teoryj społecznych wręcz przeciwnego staroczechom. Obecnie, gdy sprawy społeczne zejdą niebawem w „ludowym“ parlamencie na drugi plan, radykali będą mogli zawiesić swój radykalizm na czas nieograniczony, a na terenie czysto politycznym nie będzie powodów do nieporozumień. Sojusz więc taki jest możliwy. Czy dojdzie do skutku?

Trzeba mieć na uwadze, że w życiu publicznem czeskiem odgrywa coraz większą rolę organizacya t. zw. „wolnej myśli“, kierowana z zagranicy, niby „międzynarodowo“, ale mająca główne palenisko (obecnie przynajmniej) w Berlinie i dlatego dla politycznych interesów czeskich niekorzystna. A doktrynerów, zapracowanych nad reformą całego od razu świata, jest w Czechach znacznie, ale to znacznie więcej, niż w Polsce; toteż w Czechach nie trudno popsuć Czechom szyki z pomocą jakiegoś „powszechno-światowego“ hasła. Intelligencya czeska jest pod tym względem dzisiaj w tym stanie, w jakim była polska około roku 1830, kiedy to poprzednicy dzisiejszej „wolnej myśli“ robili politykę na naszej skórze (a wtenczas również kierunek spoczywał w Berlinie; co za „zbieg okoliczności“![1]) Trudno przypuścić, żeby faktyczni (a ogółowi nieznani)

[1]) Na czele ruchów wolnomularskich stawał zazwyczaj ktoś z pruskiej rodziny panującej.

kierownicy „wolnej myśli" chcieli dopuścić do wysunięcia na czoło czeskiego życia publicznego sprawy czysto polityczne, których ostrze zwracałoby się przeciw Niemcom, a w samym narodzie czeskim musiałoby sprowadzić p o k ó j w e w n ę t r z n y, konsolidacyę stronnictw, która zaczynając się od kompromisu staroczechów z radykałami, skończyłaby się na wciągnięciu do współdziałania „klerykałów". Czy „wolna myśl" może do tego dopuścić, — ta „wolna myśl", która rądaby rozbić naszą organizacyę w Wielkopolsce, dlatego tylko, że patronują jej księża?![1])

Wśród czeskich stronnictw „postępowych" jest za dużo ludzi troszczących się o dobro świata bardziej, niż o sprawy czeskie — stosujących do polityki krajowej metodę dedukcyjną (gdzie założeniem jest zawsze jakiś aksyomat), zamiast indukcyjnej (wychodzącej od prostego z b a d a n i a i n t e r e s u). Tacy generalizują zawsze i nie umieją myśleć inaczej, jak na podstawie dwóch ogólników, z których jeden wyznają, a drugi nienawidzą. Nieszkodliwi w czasach normalnych, mogą nieświadomie i mimowoli wyrządzić szkodę dobru publicznemu w okresie wymagającym konsolidacyi i skupienia sił, a cóż dopiero, jeżeli kieruje nimi ramię dalekie, dla którego sprawy danego kraju są w najlepszym razie obojętne.

Toteż należy się spodziewać w Czechach w najbliższym czasie zdwojonej akcyi „wolnej myśli" — a przyszłe ugrupowanie się stronnictw czeskich będzie w znacznej części zależało od tego, jak Czesi strawią tę „wolną myśl", którą do nich przemycono, wmówiwszy w nich, że to dalszy ciąg myśli Husa i Chelczyckiego!! I złapano ich.

A jeżeli „klerykali" nie pójdą p r z e z d ł u ż s z y c z a s razem (w kompromisie) z „pokrokarzami", w imię k o n i e c z n o ś c i p o l i t y c z n e j, jeżeli nie stłumi się na c z a s d ł u ż s z y tego, co stronnictwa czeskie dzieli, operując tem tylko, co je łączyć może — natenczas czeka Czechów w zbliżającej się poważnej dobie walna klęska polityczna[2]).

W najbliższej przyszłości czeka Czechów (jak w całej Austryi) kampania o czteroprzymiotnikowe prawo głosowania do sejmu krajowego i byłoby dla nich bardzo dobrze, gdyby je osiągnęli — boby tem łatwiej byli panami we własnym kraju, co im się należy. Agitacyę za taką reformą w Czechach prowadzić jeszcze łatwiej, niż u nas. Zważyć trzeba, że system kuryalny ma w Czechach jeszcze większe... wybryki reprezentacyjne, niż w Galicyi. U nas zdarza się nieraz w kuryi wielkiej własności, ze zjedzie się 20—30 obywateli na wspólne śniadanie i wybiorą reprezentanta kraju. Ale przy ostatnich wyborach sejmowych czeskiej kuryi fideikomisowej, liczącej ogółem 42 wyborców, stawiło ich się osobiście 10, za drugich 10 okazali pełnomocnictwa i wybrali posłów szesnastu!

Z tem wszystkiem łączy się kwestya obalenia dzisiejszego rządu, skoro oświadczył, że głosowania powszechnego do sejmów nie da. Taktyka agitacyjna połączy to z atakiem na politykę „pozytywną", dzięki której Czesi zasiadają w rządzie, a będzie mieć ułatwienie w ostatnich wy-

---

[1]) Niech mi będzie wolno zwrócić uwagę na jeden jeszcze „zbieg okoliczności", że mianowicie u nas, w Polsce, oświadczyła się „wolna myśl" właśnie w ostatnich tygodniach przeciw słowianofilstwu wogóle, a zwłaszcza przeciw porozumieniu polsko-rosyjskiemu.

[2]) Jeszcze na trzeci „zbieg okoliczności" zwracam uwagę, że r ó w n o c z e ś n i e przycichła agitacya „wolnej myśli" wśród Niemców austryackich.

brykach niemieckich przeciw Czechom. Kwestya komplikuje się ogromnie i sytuacya wymaga nielada przezorności, żeby omijać Scylle i Charybdy. Niema nic fatalniejszego w polityce, jak zbyt blizki związek wielu rzeczy naraz; jeden błąd może wtenczas zepsuć rzeczy wiele. Jedyna rada: nie chcieć wszystkiego naraz i wprowadzić do programu chronologię. Na razie dobrze byłoby może poczekać, aż Niemcy narobią głupstw jeszcze więcej. Niechby „Wacht am Rhein“ ozwała się w Wiedniu, choćby pod samemi oknami zamku cesarskiego, zanim Czesi zdecydują się w swej polityce na walną bitwę. Zdaje się, że na pewnej odwłoce mogliby zyskać wiele.

Dziwnemi nam się wydają stosunki morawskie, skoro po wystąpieniu Dra Parmy przeciw Dr. Stranskiemu widzimy ich nadal obydwóch w Izbie. „Listy otwarte“, zwrócone przeciw Stranskiemu (o których donosiliśmy w poprzednim zeszycie), ani nie pobudziły go do wyjaśnienia sprawy i do jak najostrzejszego wystąpienia przeciw Dr. Parmie wszelkiemi środkami sądowemi i pozasądowemi, ani nie zadały mu śmierci cywilnej, ani też nie wywołały żadnego ruchu w łonie samego komitetu wykonawczego stronnictwa ludowego. Wszystko jest — jak dotychczas — tak, jak gdyby się nic nie było stało!

Stronnictwo postępowe (pokrokové) i socyaliści zbliżyli się nawet do morawskich „ludowców“ (pamiętajmy, że te same nazwy stronnictw oznaczają w każdym kraju co innego) i odbyli z nimi już 30 sierpnia ponowną naradę w Kromieryżu, co do wspólnej taktyki sejmowej. Obok Dra Stranskiego wzięli udział w tej konferencyi posłowie: Dr. Fischer, Dr. Fajfrlik, Dr. Seifert, Staněk-Vitkovský, Šerý, Hybeš, Dr. Šilený, Dr. Pluhař, Albrecht, Balák, Dr. Chlum, Votruba.

W samym sejmie morawskim nie zaszło dotychczas (27/IX) nic takiego, coby zmieniało stosunki polityczne Moraw — zmiany stanowczo wymagające.

Przywódcom **słowackim** trzeba przyznać, że są zawsze politycznie czynni, nigdy nie będąc bez programu. Mówią o sobie z pewną dumą w N-rze 36 *Slovenského Tyždennika:* „my, młode słowackie pokolenie polityczne“. Młodzi jeszcze są, młodzi politycznie. Zanim powiemy, po czem się to poznaje, zobaczmy wpierw, z czego są tak dumni:

„*Slovenský Tyždennik* dał sygnał do takiego kroku politycznego, który — jeżeli się uskuteczni — będzie oznaczał przewrót historyczny i zaczyn postępu i lepszych czasów nietylko dla słowackiego ludu, ale i dla całego życia politycznego na Węgrzech“. Oto „młode słowackie pokolenie“ utworzyło koalicyę na obronę reformy wyborczej na Węgrzech, łącząc wszystkie żywioły ludowe w państwie. Madiarskie stronnictwo agrarne, obejmujące już siedm komitatów Dolnej Ziemi (niziny węgierskiej), żywioły radykalne z południa i zachodu Węgier, a może i stan wieśniaczy z okolic Czaby — tudzież Rumuni, mają tworzyć tę koalicyę ludową. Na pewno przyłączą się socyaliści. Jakoż organ socyalistyczny *Nepszava* oddał się na usługi tego programu z całą gotowością, a pomocnik to silny, bo na Węgrzech trafił socyalizm i do chłopskiej chaty. *Slovenský Tyždennik*

ma jednak jakieś przyczyny nie nazywać tej rzeczy po imieniu i pisze stale: „časopis robotnický“ — „organizovane robotnictvo“ unikając wyrażeń: socyalizm, socyaliści.

Ale madiarskie stronnictwo chłopsko-agrarne poczyna się dopiero organizować. „Ruch ludowy“ jest tam w tem stadyum, w jakiem był w Galicyi mniej więcej przed 25 laty. *Huszadik Század* („XX wiek“) mógł rozpisać ankietę na temat, czy takie stronnictwo jest możliwe (w formie pytajnej!), a z licznych ankiety „rozmówców“ dwóch tylko oświadczyło się pro, a tymi dwoma byli... dwaj Słowacy (Hodža i Vlad).

Jakby przystosowując się do spodziewanego sojusznika (i zapobiegając, żeby rolnik słowacki nie wchodził do madiarskiego stronnictwa chłopskiego), postanowili słowaccy przywódcy nadać swej robocie na Słowaczyźnie również cechę agrarną. Dnia 15 września odbył się w Budzyniu pierwszy zjazd. Zgromadzeni przedstawiali 22 powiatów; było 104 osób, a w tem 88 wieśniaków.

„Bývaly už všelijaké politické sjazdy a porady, ale bez halien“. A więc „halieny“ (guńki) brały udział w naradach politycznych po raz pierwszy dopiero 15 września 1908 i to w tym narodzie, który z samego ludu tylko się składa. „Jeszcześmy dotychczas nie postąpili tak dalece, żeby także rolnicy rozstrzygali na prawdę o polityce narodowej“. Inteligencya robiła wszystko sama, — a jest jej mała garstka; zrobiła — przyznać trzeba — dużo, bardzo dużo. Teraz dopuściwszy „halieny“ do obrad, wzmogą się, osadzą politykę słowacką na jej przyrodzonem tle.

Wiadomość o „halienach“, to prawdziwie wieść radosna, to coś naprawdę istotnego. Macie słuszność, pisząc: „Dzień 15 września zostanie pamiętnym w polityce słowackiej“, a wartość pomysłu koalicyi chłopsko-socyalistycznej całych Węgier polega na tem, że Was naprowadziła nareszcie do oparcia własnej organizacyi bezpośrednio o lud, w imię jego chłopskich interesów. Czeka Was na tej drodze dużo przykrości, sporo bolesnych zawodów, ale wytrwajcie, nie dajcie się niczem zrazić, a może jeszcze Wam samym będzie danem doczekać się wielkich plonów.

Za oznakę „młodości“ politycznej jednak uważać należałoby przypuszczenie, że uda się zorganizować do wspólnej pracy żywioły ludowe różnych narodów i różnych, wielce różnych warunków agrarnych. Trzebaby do tego już pewnej dojrzałości politycznej, podczas gdy tu stawia się dopiero pierwsze kroki. Takiej koalicyi początkujących ruchów ludowych nie starczy prawdopodobnie trwałości ponad jej miodowe miesiące. A przytem przyjęto do spółki czynnik, stanowiący na razie pomoc znaczną, ale obosieczną: socyalistów.

Początkujący agraryusze są prawdopodobnie bez właściwego programu agrarnego? (wszak takich rzeczy się nie improwizuje). Mają za to program pełen obietnic ziemskiego raju socyaliści — i oby nie stali się współzawodnikami młodych agraryuszów, korzystającymi z dokonanej przez nich organizacyi.

Każde stronnictwo chłopskie musi dojść z czasem do swego programu agrarnego. A wtedy będzie on inny pod Tatrami, a inny na Dolnej Ziemi!

Życząc Słowakom dobrze z całego serca, nie życzymy im, żeby się spełniło ich pragnienie, ażeby się rozwinęło madiarskie stronnictwo chłopsko-agrarne (nie socyalistyczne). Dziś to brzmi nęcąco, ale po latach... Po latach rozpisanoby ankietę na temat, jak się łączyć z ruchem ludowym i jak go wyzyskać dla węgierskich celów państwowych, a w końcu powstałoby madiarskie stronnictwo prawdziwie agrarne, łączące i szlachcica i chłopa, jako rolników, z programem agrarnym przeciwnym interesom ekonomicznym słowackiego ludu, a okraszonym madiarskim szowinizmem. Lepiej więc dla Słowaków, żeby „Dolna Ziemia" chłopskiej polityki nie miała i nie trzeba jej do tego pomagać; niechby pozostała nadal terenem magnatów i socyalistów.

Co zaś do przyszłości słowackiego ruchu ludowego, zdaje się, że będzie on podobniejszy do galicyjskiego (nie ogólnie-polskiego, lecz specyalnie galicyjskiego), niż do czeskiego. Zaznajomienie się więc z historyą sprawy ludowej u nas w ostatniem trzydziestoleciu mogłoby być korzystnem dla słowackich przywódców, żeby — korzystając z cudzego doświadczenia — ułatwiali sobie zadanie.

Jedno jest pewne: rozwojowi organizacyi ludowej musi towarzyszyć wzrost sprzyjającej jej inteligencyi. Inaczej większa połowa pracy pójdzie na marne. Inteligencyi mają Słowacy do tego stanowczo za mało i trzeba z całym wysiłkiem zbierać więcej młodzieży do wyższych szkół. A ze względu na całkowitą różność stosunków agrarnych słowackich od czeskich, a na wielkie podobieństwo tych stosunków z obydwóch stron Tatr, — trzeba, żeby inteligencya, mająca służyć słowackiemu ruchowi ludowemu, miała sposobność przygotować się do tego wśród Polaków.

Wojujące z sobą nazbyt mężnie stronnictwa **słowieńskie** miały zawrzeć kompromis pod wpływem krwawych dni lublańskich[1]) i chodziły już wieści o odbywanych w tym celu konferencyach, gdy wtem p. Šusteršič ogłosił, że to wszystko nieprawda. Ależ w takim razie właśnie p. Šusteršič powinienby postarać się, żeby to było prawdą! Dużo z tego, co pisaliśmy wyżej o stosunkach czeskich, da się odnieść też do słowieńskich, z tą różnicą, że tutaj silni i tak świetnie zorganizowani „klerikalci" nie są stroną broniącą się, ale przewodzącą i nadającą ton, a więc na nich też spada cięższa odpowiedzialność za brak pokoju wewnętrznego wśród Słowieńców. I sobie samym zaszkodzili, nie wyzyskawszy chwili sposobnej. Kompromis byłby ich podniósł ogromnie wobec rządu.

Miejmy otuchę, że hasło raz rzucone nie da się już stłumić. Dobro narodu wymaga kompromisu bezwarunkowo, polityka zaś — choćby najściślej katolicka — nie jest jednak czynnością liturgiczną, żeby miała być ekskluzywną, wyłącznie dla wierzących i praktykujących katolików. Wszak wśród warunków kompromisu musiałby być ten, że tamta strona zaprzestaje walki z Kościołem, jako takim, a więc interes katolicki nie ucierpiałby na kompromisie. Słusznie powiedział sam Dr Šusteršič na zebraniu „Kmečke zveze" 27 września w Lublanie:

[1]) Wydarzeń 18—20 września w Lublanie nie opisujemy, bo wszystkie nasze pisma codzienne zajmowały się niemi żywo, a więc czytelnicy są poinformowani dostatecznie.

„my nie żądamy od liberałów, żeby chodzili do kościoła, tylko żądamy, żeby uszanowali nasze przekonania“. (*Slovenec* Nr 222).

Żądanie tak słuszne, że „liberalci“ nie mogliby go nie uznać, jeżeli dobro narodu jest im summa lex. I skoro — jak w sprawozdaniu z mowy Dra Šusteršiča czytamy, „zarząd stronnictwa katolicko-ludowego nie miał sposobności zajmować się tem“ (t. j. kompromisem), nie można twierdzić, że obóz liberalny nie przyjąłby tego warunku. Zdaje nam się, że Dr Šusteršič powinienby przyprzeć do muru liberałów, żeby oni „mieli sposobność“ powiedzieć, czy na warunek taki przystają, czy nie, — jeżeli zaś przystaliby, w takim razie przyprzeć do muru duchowne naczelnictwo stronnictwa, przedstawiając, że jeżeli stronnictwo katolicko-ludowe pozostanie na stanowisku ekskluzywnem, narazi się na poważną secessyę.

Slovenski Narod podał Słowieńcom za wzór do bojkotu niemieckich towarów naszą organizacyę w Galicyi, obmyśloną w tym celu. W *Slovencu* znaleźliźmy wezwanie do słowiańskiej młodzieży akademickiej, żeby zjeżdżała na studya do Krakowa. Wdzięcznišmy za tę pamięć o naszej Alma Mater i byłoby nam najmilszym obowiązkiem postarać się, żeby słowieńskim akademikom było wśród nas jak najlepiej. Niech będą przekonani, że każdy z nich byłby przyjęty w Krakowie z całą serdecznością. Zamieścił też *Slovenec* bardzo ciekawy fejleton o cenzurze rosyjskiej, „z własnych doświadczeń“ nieocenionego naszego przyjaciela, ks. Lenarda. Wartoby go podać w przekładzie w całości, ale to już dla braku miejsca musimy odłożyć do następnego zeszytu.

Powstał w Lublanie dwutygodnik agrarny: *Belokranjec*, glasilo belokranjskih kmetov. W Gorycy począł wychodzić tygodnik robotniczy *Delavski Tovariš*, w duchu chrześcijańsko-społecznym, a wydawany przez konsorcyum złożone z samych robotników. Socyalistyczny *Naprej* ma się przenieść z Idryi do Lublany i wychodzić — co dwa tygodnie. Miesięcznik *Naši Zapiski* (liberalny z zabarwieniem socyalistycznem) przestał wychodzić. W Cleveland zaczęło wychodzić nowe pismo słowieńskie pt. *Amerika*[1]).

KRONIKA.

Napaści Niemców na Słowian odbywają się na całej linii w Austryi. Szybko następowały po sobie wypadki w Cieszynie. Kašperskich Horach, w Ptuju, w Libercu, w Lublanie, w Celowcu. Robi się coraz wyraźniej — a zaśpiewana w sejmie czeskim „Wacht am Rhein“ usuwa do reszty wątpliwości. Nadchodzi chwila, że każdy Niemiec w Austryi będzie się musiał oświadczyć jasno, czy jest za Prusami, czy za Austryą, a ci z nich, którzy pragną służyć Austryi, muszą zrozumieć, że da się to robić tylko w porozumieniu ze Słowianami i przez kompromis z nimi.

Ta „Wacht am Rhein“ śpie-

[1]) Sprawom chorwackim i Słowian bałkańskich poświęcimy więcej miejsca w następnym numerze.

wana w Cieszynie, w Gradcu i w Pradze musi w końcu sprowadzić sytuacyę polityczną nadzwyczaj korzystną dla Słowian, pełną dobrych sposobności. Oby ją umiano wyzyskać i przybliżyć reorganizacyę państwa.

Porozumienie Słowian z Włochami stanowi konieczny punkt politycznego programu słowiańskiego. Toteż z największą radością notujemy wszystko, co ku temu zmierza. Niedawno dzieliliśmy się pocieszającą wiadomością o kompromisie w Istryi, a teraz stało się w sejmie Gorycy, że na znak żałoby po krwawych zajściach w Lublanie zawieszono posiedzenie na wniosek posłów słowieńskich, a z a z g o d ą w ł o s k i c h.

Do ogólnego kompromisu włosko-słowiańskiego jeszcze daleko, ale bo też nie pracowano nad tem zgoła. Wykonanie tej części programu słowiańskiego powinni wziąć na siebie Słowieńcy. Jeżeli można dyskutować o porozumieniu polsko-rosyjskiem, można też o włosko-słowieńskiem i chorwacko-włoskiem.

Pragnąć rozbicia „trójprzymierza“ należy tylko ze względu na stosunki prusko-austryackie. Ale należałoby równocześnie pracować nad utrzymaniem, a nawet zacieśnieniem przymierza austryacko-włoskiego.

Zjazd dziennikarzy słowiańskich w Lublanie zgromadził mniejszą niż zazwyczaj ilość uczestników. Zjazdy te stały się ściśle zawodowemi, a więc mniejszy już budzą interes — nawet u dziennikarzy. Po konferencyi praskiej ograniczenie się do spraw zawodowych może już być słusznem, z wyjątkiem jednak zjazdu tegorocznego, jako pierwszego po owej konferencyi, który też mimowoli stał się politycznym. Jak pisaliśmy w artykule wstępnym ostatniego zeszytu, zależało na tem, żeby związek dziennikarzy słowiańskich zajął wyraźne stanowisko wobec rezolucyi konferencyi. Życzeniu naszemu stało się zadość w pełnej mierze.

Wśród wniosków z poza zarządów stowarzyszeń dziennikarskich pochodzących, znać było szlachetny zapał dobrej woli, ale zarazem — dyletantyzm. Najbardziej zwracał uwagę wniosek p. S t a c h o w i c z a, żeby założyć w Pradze organ „wszechsłowiański“, wydawany po rosyjsku, po czesku, serbo-chorwacku i po polsku, a poświęcony idei porozumienia polsko-rosyjskiego.

W polityce specyalny organ potrzebny jest tylko dla spraw i myśli ogółowi jeszcze nieprzystępnych; z chwilą, gdy d z i e n n i k i uznają coś za swoje, nie trzeba już do tego pisma osobnego. Dlatego też *Świat Słowiański* nie zajmuje się obecnie sprawą porozumienia polsko-rosyjskiego, bo dla m i e s i ę c z n i k a ta sprawa jest już załatwioną. Po co mamy bronić raz na miesiąc tezy bronionej dzień w dzień przez szereg dzienników? Wolimy zająć się przysposabianiem dalszych punktów programu.

A dla kogo ma p o r o s y j s k u wychodzić projektowane przez p. Stachowicza pismo? Jeżeli będzie wydawane za granicą, nie będzie miało debitu — z tych samych powodów, dla których go nie ma *Świat Słowiański.* Jeżeli zaś zawrze kompromis z cenzurą, nie wiele będzie warte.

Natomiast bardzo byłoby pożądane, żeby neoslawizm miał w R o s y i oficyalny organ. Na rzecz porozumienia polsko-rosyjskiego trzeba działać w Rosyi, a nie w Czechach. Proponowane więc przez p. Stachowicza pismo powinno wychodzić w Rosyi, a wystarczy wydawać je tylko po rosyjsku dla Rosyan, wśród których neoslawizm ma istotnie za mało jeszcze zwolenników. Pismo rosyjskie wydawane w Rosyi, nie będzie przynajmniej podlegało bezpośrednio cenzurze, jak druki zagraniczne.

Klub słowiański w Wilnie chciałby założyć p. K o h n, u r z ę d n i k g e n e r a ł-g u b e r n a t o r s k i e j k a n c e l a r y i. Sam jego służbowy charakter robi go już niezdatnym do tego rodzaju misyi, bo wyobraźmy sobie Rosyę zapełnioną generał-gubernatorskiemi klubami słowiańskiemi, a idea słowiańska będzie albo ośmieszoną, albo będzie musiała zwrócić się przeciw Rosyi.

Organizacye Klubów słowiańskich mogłyby mieć w Rosyi wartość tylko pod dwoma warunkami:

1) gdyby inicyatywa do nich wy-

szła od społeczeństwa, a nie z kancelaryj rządowych;

2) gdyby wolno było Polakom zakładać takie kluby i gdyby one nie musiały być pod dozorem policyi.

Zarzuty przeciw *Światu Słowiańskiemu* pojawiły się równocześnie dwojakie:

a) w *Krytyce*, że zatapiamy Polskę w morzu słowiańskiem,

b) w *Narodnich Listach*, że propagujemy imperyalizm polski.

Polemik nie prowadzimy, trzymając się ściśle i wyłącznie metody pozytywnej działania.

Chodzi nie o to, czego ktoś nie chce, ale o to, czego chce. Otóż *Narodni Listy* nie mają żadnego programu w sprawie słowiańskiej, ale *Krytyka*, potępiając politykę słowianofilską, jako szkodliwą dla Polski, ma tę wyższość nad innymi przeciwnikami polskiego słowianofilstwa, że nie jest bez programu w sprawie polskiej:

Doradza wszcząć akcyę przeciw Rosyi w porozumieniu z Rusinami i Litwinami.

Takich słów nie rzuca się na wiatr. Domyślać się wypada, że nastąpiło w tej sprawie porozumienie z Rusinami i Litwinami? *Krytyka* zaręcza, że więcej, niż na rosyjskich przyjaciół, „więcej stokroć możemy liczyć na Ukraińców i Litwinów".

My poczekamy, aż wyczytamy to w pismach ruskich i litewskich.

Krytyka uważa nasze pismo za organ „zwątpienia narodowego", twierdząc, że się zarzekamy niepodległości i oświadcza od siebie, że staje na stanowisku „opuszczonem" patryotyzmu polskiego, przyrzekając dbać „o jego czystość i siłę". My o m o n o p o l patryotyzmu walk z nikim nie staczaliśmy nigdy. Niechże więc *Krytyka* reprezentuje „czystego" Polaka, a my będziemy dalej uprawiać „imperyalizm polski".

Co do *Nar. Listów*, winneby same propagować ten „imperyalizm", jako zapewniający Czechom panowanie we własnym kraju i ogromną ekspanzyę ekonomiczną na wschód. — Skoro zaś *Nar. Listy* tego się boją, pocieszą się zapewne, gdy się dowiedzą, że w samej Polsce są już patryoci, baczący, żeby do tego nie doszło.

Głównie uderzono w *Krytyce* na artykuły p. K. J. K. (Wielkopolanina). Dziś — po kilku miesiącach — możemy powiedzieć, że nie żałujemy umieszczenia ich, bo okazało się, że było to taktycznie dobrem.

Uderzono też na redaktora, jakoby twierdził, że mamy tylko 30 lat życia przed sobą w Poznańskiem — podczas gdy on twierdził i twierdzi, że mamy tylko 30 lat czasu, ażeby potęga pruska była skruszona i jeżeli to nie nastąpi do tego czasu, czekać nas może życie takie, że żyć nie będzie warto. Toteż program *Swiata Słowiańskiego* opiera się cały na myśli o Berlinie, podczas gdy program *Krytyki* doradza sojusz z Ukraińcami, — którzy są w przyjaźni z Berlinem.

Wytknięto też w *Krytyce* naszemu pismu, że propagandę „wolnej myśli" uważa za szkodliwą dla sprawy polskiej. Przypadkiem wypadło nam pisać coś o tem w tym zeszycie (zob. str. 916). I zdziwieni jesteśmy, że krakowski organ „wolnej myśli" dopiero teraz, po czterech blizko latach, spostrzegł, że polityka nasza jest niepatryotyczną. Za jeszcze większych od *Krytyki* patryotów wypadałoby więc uznać tych, którzy zaraz na samym początku przeciw nam wystąpili.

Świat Słowiański w takiej a u t o l i c y t a c y i niejako patryotyzmu nigdy nie weźmie udziału. Oświadczyliśmy zaraz w pierwszym zeszycie, że „niczego z polskości się nie wyrzekamy, lecz pragniemy ją wzmocnić nową dziedziną pracy i działania". Kiedy z wiosną 1907 roku odzywały się nawoływania, że Polacy powinni poczynić ustępstwa ze swej idei narodowej, ogłosiliśmy w czerwcu 1907 artykuł pt. „Słowianofilstwo bez ustępstw". Potem trzeba było przeprowadzić dowód, że nie my kazimy ideę słowiańską, ale Rosya, bo my chcemy porozumienia, lecz nie chcą go tamci. W przeprowadzeniu tego dowodu wzięliśmy udział gorliwy, idąc na pierwszy ogień — bo tak było trzeba i nie żałujemy spełnionego obowiązku. Było to przed oświadczeniem się wszystkich politycznych organizacyj polskich, że wezmą udział w konferencyi praskiej. Po konferencyi oświadczyliśmy, że ta rzecz załatwiona i ta rubryka zamknięta. Ale wtedy właśnie

zaczęła się nagonka na słowianofilów.

Czy dlatego, że konferencya praska udała się?

Czemużeście przed konferencyą nie wystąpili przeciw niej? Jechaliście na konferencyę wszyscy i ani jedno stronnictwo narodowe nie usunęło się; wszystkie wyprawiły delegatów. Na konferencyi była nasza sprawa górą, odniosła tam tryumf — a po konferencyi ci i owi wołają, że to akcya „niepatryotyczna". Czyż wasz patryotyzm miewa okresy śpiączki, a budzicie się post festum?

Na co czekaliście? na jaki sygnał? A to ciekawe, że wszyscy, którzy wystąpili przeciw słowianofilstwu, są mniej więcej „wolnej myśli", związani mniej lub więcej z organizacyą, której maszyneryi „międzynarodowej" sami nie znając, poddają się jej jednak, sądząc naiwnie, że są świadomymi pracownikami kultury, podczas gdy w rzeczywistości są nieświadomemi narzędziami polityki.

Podobnież socyaliści polscy w Kongresówce sądzili naiwnie, że walczą o „republikę proletaryatu", a w rzeczywistości walczyli o interesy niemieckiego kapitalizmu.

Sic vos — non vobis. Szkoda was na to.

Konstytucya w Rosyi.

Na podstawie statystyki urzędowej obliczyła *Gazeta Sądowa*, że w r. 1907 liczba osób zesłanych wynosiła 74.622 osób, w czem 88% zesłańców politycznych.

Gazety kijowskie doniosły, że policmajster tamtejszy wniósł projekt budowy koszar dla policyi na dziedzińcu uniwersytetu.

Licznym profesorom uniwersytetów, należącym do stronnictwa „kadetów", kazano podpisywać deklaracye, że występują z tej organizacyi. Profesorowie uniwersytetu moskiewskiego podpisali oświadczenie, że nie należeli nigdy do żadnej organizacyi antypaństwowej i udało im się w ten sposób wydostać z matni — przynajmniej na razie. Które stronnictwo jest państwowe", a które „antypaństwowe", o tem rozstrzyga jednak policya i jeżeli profesorowie moskiewscy nie chcą, żeby ich spotkał los kilku kolegów petersburskich, muszą odsunąć się od życia publicznego.

Posłom „niebłagonadiożnym" nie wolno składać przed wyborcami sprawozdań poselskich. Odmówiono pozwolenia na urządzanie zebrań Szingarewowi w Woronežu i Makłakowowi w Moskwie. Posłowi kostromskiemu, kadetowi Gerasimowowi, zakazał tego wice-gubernator; żeby zaś nie urządził zebrania pod pozorem odczytu prywatnego, śledziła go przez cały czas policya. Opowiada o tem w dzienniku *Nowaja Ruś.*

Taka ostrożność policyi, zdaniem posła, jest zupełnie niepotrzebna, ponieważ ogół tak jest nastraszony środkami „uspokojenia", że żadna siła nie byłaby zdolną sprowadzić chociażby jednego słuchacza na zebranie tajne. Jako przykład poseł podaje taki fakt:

„Opowiadał mi pos. p. B., że w Wiatce nie mógł znaleźć lokalu na zebranie, chociaż miał pozwolenie policyi. Dopóki przedstawiciel policyi nie wtrącił się do tego i nie potwierdził osobiście pozwolenia, dopóty nikt nie chciał udzielić swego mieszkania".

Taki stosunek władzy do zebrań sprawozdawczych poselskich i taki nastrój społeczeństwa istnieje mniej więcej w całej Rosyi.

Tolerancya religijna.

Zjazd bractw prawosławnych w Mińsku żądał klątwy na wszystkich, którzy przeszli z prawosławia na katolicyzm. Sekretarz konsystorza grodzieńskiego wystąpił z wnioskiem, żeby rozpocząć w rządzie starania o zerwanie konkordatu z Rzymem.

Przenoszenia duchownych w drodze administracyjnej odbywają się ciągle. Usunięto z parafii w Sokalu na Wołyniu ks. Tokarzewskiego. Pleban ten wzniósł nowy kościół w opuszczonej zupełnie parafii i odznaczał się wielką gorliwością. Otrzymał za to z ministeryum spraw wewnętrznych za pośrednictwem departamentu wyznań obcych polecenie, aby się wytłómaczył z następujących zarzutów: 1. dlaczego wśród ludu propaguje trzeźwość? 2. dlaczego

występuje przeciwko małżeństwom mieszanym? 3. dlaczego na rekolekcyach wyraził się do młodzieży, że jest pozbawiona szkoły polskiej?

Czytamy w *Głosie Warszawskim* (Nr. 186):

Jeden z dramatów, osnutych na tle religijnem, rozegrał się znowu na Białej Rusi. Historya jego jest taka:

W mieście Iwieńcu, w pow. mińskim, istniał kościół parafialny, fundowany 1606 r., a przed kościołem na placu stał krzyż; kościół w 1868 r. przerobiono na cerkiew, a krzyż zniesiono. W maju 1906 r. mieszczanie iwieńscy wznieśli ze składek nowy krzyż na miejscu dawnego i ogrodzili go sztachetami. Na skutek skargi parocha miejscowego, o. Pawła Gachowicza, asesor z Rakowa, Korzunow, zaskarżył pięciu mieszczan o pogwałcenie art. 73 ust. kar. (tamowanie ruchu na ulicach i placach). Naczelnik ziemski 5 cyrk. powiatu mińskiego, wyrokiem z dnia 23 czerwca 1907 r., skazał Stanisława Buraka, Julię Cimachowiczową, Annę i Felicyana Kruklińskich na grzywny w wysokości 1 rb., oraz postanowił „usunąć z placu krzyż przy pomocy środków policyjnych". Dnia 16 lipca 1907 r. asesor Korzunow z „uriadnikiem" i sześciu konnymi strażnikami zjechał do Iwieńca, w celu wykonania wyroku; z jego rozkazu strażnicy zburzyli sztachety, a krzyż wykopali i przenieśli na cmentarz katolicki. Zaledwie jednak odeszli, tłum mieszczan zebrał się na cmentarzu, wykopano krzyż i ustawiono go ponownie na placu. Przy zbliżaniu się jednak asesora ze strażnikami, mieszczanie wykopany krzyż ustawili w zawczasu przygotowanym dole, w położonym przy placu ogródku i otoczyli go żywym murem ciał swoich. Z rozkazu asesora strażnicy konni zaczęli tratować i bić nahajkami ludzi, w celu odebrania im krzyża; wtedy z tłumu posypał się grad kamieni i cegieł, a w odpowiedzi strażnicy dali salwę z karabinów. Tłum rozbiegł się, krzyż zabrano i wywieziono do Rakowa. Na placu został trup Julii Mikulskiej, poranione kulami: Rozalia Toczkowa, Józefa Mikucka i Emilia Adamowiczowa, oraz ciężko pobite nahajami: Julia Cimachowiczowa, Emilia Burakowa i Julia Sieczkowska.

Dnia 30 września stawali przed Izbą sądową w Mińsku, w charakterze oskarżonych z art. 263 kod. karnego (bunt przeciwko władzy), grożącego do 20 lat katorgi, mieszczanie: Stanisław Burak 21 lat, Julia Sieczkowska 35 lat, Julia Cimachowiczowa 46 lat i jej córka, Michalina 21 lat; współoskarżona matka Buraka, Emilia Burakowa, 56 lat, nie stawiła się w sądzie z powodu choroby. Burak odsiedział 14 miesięcy więzienia tymczasowego.

Obronę wnosili adwokaci Mietlin i Wróblewski.

Po dwugodzinnych naradach Izba sądowa skazała: Buraka — na rok domu poprawy, Sieczkowską — na rok więzienia, Cimachowiczową — na 2 miesiące więzienia, a córkę jej, Michalinę, uniewinniono.

Prześladowanie w zaborze rosyjskim.

Wydalono ze wszystkich polskich szkół prywatnych nauczycieli, wykładających język rosyjski, historyę i geografię, każąc zastąpić ich Rosyaninami. Nakaz ten rozciągnięto nawet na szkółki początkowe jedno- i dwuklasowe. Słusznie napisał *Głos Warszawski*:

„Okólnik ten wytwarza warunki, przy których istnienie szkół prywatnych staje się prawie niemożliwe; wszak w kraju naszym „osób pochodzenia rosyjskiego" — choćby to byli nawet dymisyonowani kaprale — nie wystarczy na obsadzenie wszystkich szkół jedno- i dwuklasowych".

Przy wykładzie arytmetyki w szkółkach początkowych dozwolono używać języka polskiego tylko, jako pomocniczego, o ile dzieci nie znają jeszcze języka rosyjskiego, ale nauczyciel ma starać się, żeby dzieci mogły egzamin z arytmetyki zdawać w języku rosyjskim.

Minister oświaty Schwartz odwołał się do wszystkich gubernatorów Królestwa o wydanie rozporządzenia, ażeby szyldy szkół gminnych i wiejskich z napisami w dwóch językach były przemalowane i zawierały napisy wyłącznie w języku rosyjskim.

W gub. płockiej obecnie władze policyjne zmuszają urzędników gmin-

nych do wykonania tego rozporządzenia, ma się rozumieć, kosztem gmin, w terminie dwutygodniowym. Niektórzy pełnomocnicy gmin, jak dochodzą nas wieści, uważają ten wydatek z kas gminnych za nieprawny i będą zaznaczać to przy sprawdzaniu i poświadczaniu książek rachunkowych, oraz wnosić skargi na wydane rozporządzenie na podstawie upoważnień zebrań gminnych. Pełnomocnicy twierdzą, powołując się na ustawę gminną, że szkoły stanowią własność gminy, wydatki więc na szkołę mogą być uskuteczniane tylko zgodnie z etatem i na mocy uchwał zebrań gminnych lub gromadzkich (art. 9 ukazu z r. 1864 i art. 3650 T. XI zb. pr.), a nie pod przymusem policyi.

Następnie samo żądanie zniesienia napisów na budynkach gminnych (szkołach) nie jest oparte na żadnem prawie, albowiem wszelkie napisy w gminie, jak napisy na drogowskazach, szyldach, znakach, mogą być w dwóch językach. Nie przeczą temu ani postanowienia komitetu urządzającego, ani ostatnie postanowienie komitetu z dnia 6 (19) czerwca 1905 roku.

Według mniemania wspomnianych pełnomocników, minister oświaty Schwartz powinien był daną reformę w szkołach polskich przeprowadzić, w razie niekwestyonowania sprawy języka, tylko z funduszów swojego ministeryum, po wniesieniu odpowiedniej pozycyi do etatu ministeryum i zatwierdzeniu przez Dumę i Radę państwa.

Reforma p. Schwartza będzie kosztowała ludność Królestwa (licząc przemalowanie szyldu około 5 rb.) do 20.000 rb., za które można byłoby pobudować kilka budynków szkolnych".

Z gminy Bielino donoszą do *Głosu Płockiego*, że tabliczki na chatach włościańskich z nazwiskami właścicieli tychże, pisanemi tylko po rosyjsku — przed dwoma laty w wielu miejscowościach zupełnie usunięto, zastępując je napisami polskiemi; obecnie władze poleciły umieścić tabliczki z napisami rosyjskiemi, co wchodzi już w wykonanie.

Profesora P o g o d i n a, który poświęcił się propagowaniu idei porozumienia p o l s k o - r o s y j s k i e g o, pozbawiono katedry w Warszawie i przeniesiono do instytutu historyczno-filologicznego w Nieżynie.

Odmówiono zatwierdzenia statutu Towarzystwa Domu ludowego w Warszawie.

Stawiono przed sąd — bez udziału przysięgłych — proboszcza wileńskiego kościoła pobernardyńskiego ks. K r e t o w i c z a o tajne nauczanie polskiego czytania, a p. P a w ł a K o ń c z ę i p. A n n ę W a ń k o w i c z o w ą o „założenie szkółek elementarnych" bez pozwolenia władzy w swych majątkach wiejskich.

W gub. płockiej pociągnięto do odpowiedzialności s ą d o w e j 42 sędziów i ławników gminnych za wprowadzanie w sądach gminnych języka polskiego.

Generał gubernator warszawski polecił administratorom parafii rzymsko-katolickich wszelką korespondencyę zarówno zewnętrzną jak wewnętrzną prowadzić w języku rosyjskim.

Na przedstawieniu „Barbary Radziwiłłówny" przez drużynę wędrowną w Płocku kazała policya zdjąć Orła białego z nad tronu Zygmunta Augusta.

Nowe oddziały tajnej policyi utworzono w Lublinie, Piotrkowie, Radomiu, Kaliszu, Kielcach, Łomży, Płocku, w Suwałkach i Siedlcach.

W liczbie kandydatów na posadę młodszego lekarza w Dumie Państwowej zgłosił się i Polak p. N.

P. N. zwrócił się do sekretarza Dumy państwowej, S a z o n o w i c z a, o poparcie jego starań, powołując się jednocześnie na rekomendacyę kilku członków prawych z Dumy.

Lecz p. Sazonowicz wnet zapytał:

— Pan jest Polakiem?

— Tak Panie.

— To w takim razie muszę panu kategorycznie oświadczyć, iż nietylko nie mogę być panu pomocnym, lecz wystąpię przeciw temu jaknajenergiczniej. Polaka przyjąć na służbę w żadnym razie nie możemy...

(bk) Prześladowanie w zaborze pruskim.

Dnia pierwszego października Rada miejska poznańska stała się widownią zajścia niezmiernie charakterystycznego dla stosunków nie-

miecko-polskich. *Kuryer Poznański* omawia całą rzecz dokładnie. A mianowicie powstał projekt — podobno inicyatywę dał sam cesarz — by w Poznaniu naprzeciw nowego zamku cesarskiego ustawić posąg, przedstawiający w butnej postawie Niemca ze sztandarem w ręku. — Dr. Wilms, obecny starszy burmistrz poznański — niepomny, że gdy starał się o posadę, wtedy Polacy głosowali za nim, jako za katolikiem i pochodzącym z zachodnich Niemiec — postanowił skorzystać ze sposobności i przypodobać się rządowi przez zaznaczenie antipolskich uczuć, a posłuszeństwa cesarzowi. Na wspomniany posąg Poznań uchwalił był już 20.000 marek. Suma ta jednak wydawała się dr. Wilmsowi za nizką i zażądał, by miasto na własny koszt posąg ustawiło. Przeciwko temu zaprotestował energicznie radny mecenas Drwęski, podnosząc słusznie, że na posąg prowokujący uczucia narodowe polskie, Polacy płacić nie będą. Wyrażenie powyższe uznał dr. Wilms za „bezczelne", a przewodniczący Rady, choć dr. Drwęski odwołał się do niego z prośbą o zadosyćuczynienie, nietylko nie ujął się za radnym, ale wprost stanął po stronie Wilmsa, oświadczając, że nie widzi powodu do wkroczenia przeciwko starszemu burmistrzowi. Odpowiedź przewodniczącego przyjęli Niemcy i Żydzi burzą oklasków.

Z naszej strony komentarz zbyteczny. Pragnęlibyśmy, żeby wydarzenie to dostało się do wiadomości całej Słowiańszczyzny. Dodamy jeszcze jeden szczegół, a mianowicie, że lud prosty opowiada i wierzy, że w zamku stawianym sobie w Poznaniu nie zamieszka Wilhelm II, ale... król polski, bo upadną Prusy, gdy ten zamek będzie ukończony. Przepowiednia ta rozpowszechniona jest już dawno i nietylko w Księstwie Poznańskiem; redaktor *Świata Słowiańskiego* spotkał się z nią po raz pierwszy przed ośmiu laty wśród górników śląskich.

Przed sądem ławniczym w Zbąszyniu stawali we środę ks. proboszcz Braun z W. Dąbrówki i p. Fr. Laurentowski z Poznania za mowy, wygłoszone na wiecu przedwyborczym w Przyprostyni. Zarzucono im, że poruszyli ustawę językową, sprawę wstrzemięźliwości, hasło „swój do swego" i agitowali za polskiemi pismami. Ks. Brauna skazano na 30 mk. kary, lub 6 dni więzienia, a Laurentowskiego na 15 mk. kary, lub 3 dni więzienia i na wspólne ponoszenie kosztów. Zasądzeni zażądali rewizyi.

Na Górnym Śląsku, w Biskupicach wytoczono proces Towarzystwu polskich robotników, zadenuncyonowanemu przez policyanta zabrskiego, który pod przybranem nazwiskiem wkradł się do Towarzystwa i sam namawiał do demonstracyi antiniemieckich.

Za „tajne związki" wytoczono proces Towarzystwu katolickich młodzieńców w Rudzie i członkom polsko-katolickich Towarzystw w Zabrzu i Zaborzu. Żadne z powyższych Towarzystw nie jest politycznem, ale Niemcy odkryli, że w ich bibliotece są niebezpieczne książki: o Mickiewiczu i Słowackim i że wygłaszano odczyty: „über den polnischen Heerführer Kordetzki, über den polnischen Nationalhelden Twardowski", o Sobieskim, Kościuszce i św. Kazimierzu królewiczu.

W święto Piotra i Pawła 1907 r. przybyła do Krakowa wycieczka z Górnego Śląska pod kierunkiem p. Piechy, członka zarządu Związku bytomskiego i kasyera banku ludowego w Zabrzu. Na Skałce rozdał P. między wycieczkowców drukowane teksty pieśni „Boże coś Polskę". Szpieg pruski doniósł o tem do prokuratoryi i wytoczono proces o podburzanie do gwałtów. Za namową obrońcy przeniósł P. proces do sądu krakowskiego, który wydał wyrok uwalniający. Pomimo, że według kodeksu karnego wolno karać tylko, jeśli przekroczenie dokonane w obcem państwie podlega karze w tamtem państwie, sąd gliwicki skazał P. na 150 mk. kary. Apelowano do sądu Rzeszy.

W wolnem mieście Bremie pozwoliła policya na odbycie wiecu polskiego Zjednoczenia zawodowego. Wiec odbył się po polsku, nie było nawet dozorującego urzędnika.

W Derne pod Dortmundem zakazano na uroczystości świeckiej Bractwa Różańcowego śpiewać pieśni nabożnej po polsku.

Radca sprawiedliwości Schnauss z Lipska zwrócił się bezpośrednio do cesarza niemieckiego z prośbą, aby wykluczył z Niemiec polskich robotników rolnych z Galicyi i Królestwa Polskiego. Przeciwko projektowi temu oświadczyły się ostro pisma rolników niemieckich, bo robotnik polski jest tani i wytrwały.

Ks. Biskup chełmski na mocy orzeczeń kongregacyi dekanalnej i petycyi rodziców, zaniósł prośbę do ministra oświaty, by w szkółce elementarnej nauczano po polsku. Minister odpowiedział odmownie.

Parlament niemiecki uchwalił około miliona marek na „dodatki kresowe“. Wynoszą one 10 procent i mają być wypłacone urzędnikom, którzy przynajmniej 5 lat pracowali w W. Ks. Poznańskiem i w tych okolicach Prus królewskich, gdzie mieszkają Polacy i Niemcy.

Chrzty pruskie otrzymały: gmina Wiekowo w powiecie witkowskim „Pappelberg“, — Wielkie Murzynowo w powiecie inowrocławskim „Gross Morin“, — Kijewo w tymże powiecie połączono z Gężewem i Brennem i przezwano na „Reichsmark“. Obwód dominialny Skiereszewo w powiecie gnieźnieńskim zamieniono na gminę wiejską i przechrzczono na „Kirchdorf“; domenę Szprudowo pod Pelplinem na Martenshof; gminę Neklę w powiecie sredzkim na Herrenhofen; Modliszewsko w powiecie gnieźnieńskim na Modlin.

D r z y m a ł a znów siedzi w więzieniu. Komisarz kazał mu bowiem wyprowadzić się z wozu, a on tego nie uczynił.

(bk) Ruska kronika.

Kijowska *Rada* podaje bardzo ciekawe dane statystyczne, odnoszące się do stanu w Galicyi ruskich pism wszelkich kierunków politycznych. Najbardziej rozpowszechnioną jest gazeta narodowo-demokratyczna *Diło;* ma 4.000 prenumeratorów i stoi już o własnych siłach; wychodzi od 1881 r. Rusofilski *Hałyczanin* wychodzi od 1896 r., ma 80J prenumeratorów i dostaje zasiłki z Rosyi. Radykalny *Hromadzkij Hołos* ma 1000 prenumeratorów. Tygodnik moskalofilski *Russkije Słowo* ma 6—7000 prenumeratorów po wsiach. Bardzo rozpowszechnioną jest też narodowo-demokratyczna *Swoboda.* Narodowo-demokratyczna *Selańska Rada* ma 800, a socyalistyczna i ukraińska *Zemlja i Wolja* 2000 prenumeratorów. Dwa razy na tydzień wychodzi narodowo-demokratyczny *Chliboroba* (800 egzemplarzy), rusofilskie: *Nauka* (800 egzemplarzy) i *Ruska Rada* (200 egzemplarzy). Klerykalny miesięcznik dla ludu *Misyonarz* rozsyła 16.000 egzemplarzy. Konserwatywny *Rusłan* ma zaledwie 300, a tygodnik *Osnowa* 800 prenumeratorów. Bezpartyjne *Narodne Słowo* ma 3.000 prenumeratorów, socyalno-demokratyczny *Czerwonyj Prapor* 4000 prenumeratorów.

Na Bukowinie: narodowo-demokratyczne: *Bukowyna* (trzy razy na tydzień) w 600, tygodnik *Ruska Rada* w 1000 i *Narodne Bogactwo* w 1000 egzemplarzy. Socyalno-demokratyczny dwutygodnik *Borba* ma 800 prenumeratorów.

Ksiądz biskup C h o m y s z y n w Stanisławowie wydał do duchowieństwa swojej dyecezyi okólnik, w którym mu nakazuje stronić od ukraińskiej „Siczy“ i czytelń „Proświty“. Poleca natomiast zakładanie stow. katolickich pod nazwą „Jedność“. Nadto zakazuje prenumerować *Diło* i *Swobodę,* jako redagowane w duchu antykatolickim i pełne kłamstw.

Petycya moskalofilów do sejmu żąda, by zamiast pisowni fonetycznej powrócono do etymologicznej, motywując powyższe żądanie tem, że Rusin przez fonetykę trudniej się uczy po polsku.

W celu zawiązania osobnego s t r o n n i c t w a a g r a r n e g o wśród chłopów, odbył się w R a w i e R u s k i e j wiec, z udziałem Rusinów i Polaków. *Ruskyj Seljanyn* agituje w tym kierunku, gdy przeciwnie, reszta prasy występuje przeciw. *Diło* zwraca uwagę, że inicyatorami są Polacy. Na to *Seljanyn* odpowiada: gdyby nawet tak było, to dla dobra Rusi powinno się ten plan wykonać.

(Nasze zdanie o stronnictwie agrarnem rusko-polskiem wyraziliśmy w zeszycie z czerwca 1908 str. 585).

Dr. S t e f a n R u d n i c k i został mianowicie docentem geografii na lwowskim uniwersytecie, z językiem wym ruskim.

Dr. A n t o n i H o d i n k a, docent

uniwersytetu budzyńskiego pracuje nad systematycznem opracowaniem wykładohistoryi Rusi.

Na Rusi węgierskiej, w Delku, umarł powieściopisarz ludowy, ksiądz Teodor Legeza; drukował w wychodzących dawniej czasopismach *Swet, Karpat, Listok* i w zachowanej dotąd *Nauce*.

W Narodnim Domu we Lwowie, już od 24 lat wynajmuje osobny lokal towarzystwo rzemieślników ruskich „Zorja“. W tym roku do wydziału wybrano kilku socyalistów. Nie podoba się to zarządowi domu, który pozostaje w ręku starorusinów i chcą „Zorji“ pozbyć się z lokalu. Za to nazywa ich prasa ukraińsko-radykalna „czarnosotieńcami“.

We Lwowie powstała pierwsza ruska fabryka maszyn do cementowych dachówek pod kierunkiem inżyniera p. Wołosenki i Stefaniwskiego.

Bukowyna podaje następującą statystykę działalności „Proświt“ w Rosyi w r. 1907: Najczynniejszą okazała się kijowska, w której skład wchodzą cztery komisye: wydawnicza, artystyczna, biblioteczna, lekcyjno-szkolna. Najwięcej zdziałała wydawnicza, dla oświaty ludowej natomiast zrobiła „Proświta“ kijowska mało, bo nie wolno jej zakładać filii i czytelń na wsi. „Proświta“ odeska urządziła około stu lekcyi i kilkadziesiąt wystaw, posiada własną bibliotekę i czytelnię. „Proświta“ w Katerynosławiu prawie całkiem milczała, ale jej zasługą jest filia... w Amurze. Przeszkodą do rozwoju „Proświt“ jest brak intelligencyi, funduszów i ciągłe szykany rządowe. Tak np. zamknięto „Proświtę“ podolską dlatego, że w 24 siołach urządziła biblioteki i czytelnie. Podobnie zamknięto 4 filie „Proświty“ kubańskiej, która założyła razem 15 filii. Inne oddziały „Proświty“ nie zdziałały nic. W r. 1908 rząd nie pozwolił na założenie ani jednej nowej „Proświty“.

Pielgrzymka poczajowska, urządzona przez „galicyjskich Rosyan“, zajmowała dużo prasę polską. My chcemy tylko zwrócić uwagę na przemowę metropolity kijowskiego Flawiana, ktory dał wyraz radości, że Ruś halicka, zachowawszy obrządek wschodni, zachowała tem samem łączność z Rosyą. Przyznać mu trzeba, że pojął trafnie znaczenie, a raczej brak znaczenia unii w katolicyzmie.

Pojęcia religijne Rusinów charakteryzuje pomysł wystawienia w Kurytybie brazylijskiej cerkwi pod wezwaniem Szewczenki. Doniosła o tem wydawana w Ameryce *Zorja*.

W zeszycie lipcowym warszawskiego *Przeglądu Narodowego*, p. Kazimierz Bartoszewicz ogłosił szereg ciekawych uwag w artykule „Przyczynki do kwestyi ruskiej“, wykazując, że dzisiejsze stosunki polsko-ruskie nie są skutkiem stosunków panujących za Rzpltej. Między jednem a drugiem niema związku. Kwestya ruska skończyła się dla Polski — zdaniem Bartoszewicza — a wytworzył ją na nowo rząd austryacki.

Przedewszystkiem autor odpiera zarzut posła Budzynowskiego: „Jedynym powodem upadku państwa polskiego było to, że Polacy nawet na łożu śmiertelnem nie chcieli uznać Rusinów równymi sobie“ Szlachcic i chłop — polski czy ruski — zawsze byli równi sobie, a duchowieństwo unickie zrównano z łacińskiem właśnie w okresie Sejmu czteroletniego i metropolitę wprowadzono do senatu; dyzunitom zaś dawała zupełną autonomię Kongregacya dyzunitów w Pińsku.

W dzisiejszej Galicyi uważała intelligencya ruska język polski za swój własny już pod koniec XVIII wieku i stan ten przetrwał do połowy wieku XIX., rząd zaś austryacki nie wiedział nic o istnieniu osobnego języka ruskiego. Gdy ks. Jan Lewicki napisał w r. 1838 gramatykę ruską po rusku, żaden cenzor austryacki nie mógł się podjąć cenzurowania rękopisu; dopiero po długich korowodach trzeba było wyszukać cenzora ad hoc.

Gdy 1834 r. Szaszkiewicz napisał „Zorję“, cenzor wiedeński, świetny slawista, Bartłomiej Kopitar, zastanawiał się wprost, czy można „Zorję“ wydać. Dowodził, że uznając nowy język literacki, naraża się Austrya i Polakom i Rosyi. Najciekawszą jest jednak niepewność Kopitara, jak ten nowy

język nazwać. W jego „Berychtach“ o „Zorji“ czytamy: Kleinrussen, Russniaken, ruthenische Herren, russinische Volkslieder; o „Zorji“ mówi: ruthenisches Werk — in der russischen Sprache. Dopiero 1849 roku rząd austryacki kazał Rusinów w aktach urzędowych nazywać „Ruthenen“.

Ksiądz Józef Lewicki pisał w łatach 1843—44 dwa listy w sprawie języka ruskiego. Wylicza kilka narzeczy i nie wie, które z nich uważać ostatecznie za literackie, tembardziej, że z dotychczasowych książek ruskich, każda miała odmienny język i inną gramatykę.

Intelligencya ruska kształciła swe dzieci po polsku aż do roku mniej więcej 1843. A jak zapatrywano się na język ruski, objaśni następujący przykład: W uniwersytecie lwowskim wykładano na wydziale teologicznym po polsku i po rusku; klerycy upatrywali w tem ujmę dla siebie i prosili, by wykłady odbywały się tylko po polsku. Popi nie znali często języka ruskiego, a Lewicki i Łoziński, patryoci ruscy, musieli pisywać dla Rusinów po polsku, chcąc, żeby ich czytywano.

Stosunki rusko-polskie były długo jak najlepsze. Z licznych przykładów, podanych przez p. Bartoszewicza (cały jego artykuł roi się od faktów), cytujemy trzy:

W 1832 r. założono kółko młodzieży, później „Senatem“ zwane; należeli tam Polacy i Rusini, razem też 1837 r. przy wykryciu ponieśli karę. W 1833 r. zawiązał się w Galicyi „Związek przyjaciół ludu“, echo wolnomularstwa; celem było odrodzenie Polski w formie republikańskiej; należeli tam Polacy i Rusini. W 1834 r. we Lwowie, dzięki zdradzie profesora Rusina wykryto i aresztowano członków „Tajnego Towarzystwa starożytności galicyjskich“; większość była Rusinami.

Dobre wzajemne stosunki zaczęły się psuć najpierw w seminaryum teologicznem w Wiedniu, gdzie alumni ruscy stali się strasznymi rządowcami.

Autor robi spostrzeżenie, że gdy powstawało „moskalofilstwo“, Polacy sami zaczęli pisywać po „ukraińsku“ i tak zniewoleni Rusini musieli iść za ich przykładem.

Obszernie rozbiera autor pytanie, czy jesteśmy winni dzisiejszej nienawiści Rusinów?

W r. 1860 Agenor Gołuchowski zrównał pod względem prawnym języki krajowe, polski i ruski; Rusini sami nie troszczyli się o to wcale. Deputacya galicyjska, przedstawiając Schmerlingowi swe żądania, nazywała Polaków i Rusinów w Galicyi odrębną indywidualnością historyczno-polityczną i żądała równych ustępstw. Nie podobało się to „Świętojurcom“, wysłali więc antideputacyę, zaznaczając zupełną odrębność Rusi. Ale Rusini, nie chcący być Rosyanami, zaprotestowali przeciw temu i gdy ta trzecia z kolei deputacya ruszyła do Wiednia, witali ją Polacy wszędzie owacyjnie i wszędzie zaznaczali przyjaźń dla Rusinów. Przy pierwszych wyborach do Sejmu rząd poparł silnie „Świętojurców“, weszli też do sejmu chłopi ruscy, wśród których rozwinięto agitacyę przeciw „panom“. Sytuacya nie była ani miłą, ani łatwą, ale Polacy ustępowali chętnie. Adres do cesarza wystosowano w dwu językach, protokoły spisywano i czytano po rusku i po polsku. Odparto wniosek posła ruskiego, by do Komisyi weryfikacyjnej wybierał członków „lud sobie — pany sobie“, choć dałoby to Polakom większość, byle tylko oba narody zbliżyć. A tymczasem Rusini dokuczali, jak mogli, schlebiali rządowi, a pod Polakami kopali dołki. Sejm pracował dla Rusinów, dał im prawne uznanie języka ruskiego w szkole i urzędzie.

Przy wyborach delegacyi sejmowej do Rady państwa Polacy zatwierdzili wszystkie, nawet nielegalne mandaty Rusinów; gazety polskie pomijały tendencyjnie „zgrzyty“ ruskie, a podnosiły każdy, tak rzadki objaw życzliwości. Ale niebawem miały się rozwiać resztki nadziei bezpowrotnie. Rusini prosili mianowicie Polaków, by do Wiednia wyjechali dopiero po ruskiej Wielkiejnocy, a więc 7 maja. Polacy zgodzili się, ale Rusini byli już 1-go maja. Ale gdy w Radzie Państwa miano wybrać komisyę adresową do tronu i chciano czekać na Polaków, Rusini oparli się temu! Rusini umó-

wili się z Polakami, że zajmą miejsce w Radzie Państwa po stronie federalistów, obok Polaków, ale znaleziono ich... obok centralistów. Teraz dopiero otworzyły się Polakom oczy, ale zapóźno.

Rusini dali się rządowi użyć przeciw „niebezpieczeństwu polskiemu“, byli odtąd czarno-żółtymi. Zbierali od rządu nagrody i zaszczyty. Odepchnęli życzliwą rękę Polaków, zapłacili im nienawiścią, a przecież wszystko, co dziś mają — autonomię i zrównanie języka — wywalczyli nie sami sobie, ale wywalczyli im to Polacy. Rusini w walce konstytucyjnej w Austryi udziału nie brali — zawsze stali wiernie po stronie centralistów.

Morawska wystawa w Kromieryżu.

Najbliżsi nasi sąsiedzi i pobratymcy, Morawianie, urządzili w hanackim a w dziejach pamiętnym Kromieryżu bardzo ładną „jubileuszową“ wystawę, która ich pracy kulturnej przynosi zaszczyt, a na której niestety polski widz jest *rara avis*. Nasi podróżnicy i wycieczkowcy przelatują koleją zawsze jeszcze bezmyślnie piękne bratnie Morawy, nie zatrzymując się w nich nigdzie i ani im nie wpadnie do głowy, że tu mogą widzieć dużo rzeczy zarówno bardzo ciekawych i wielce pouczających i że obowiązek narodowy nakazuje każdemu Polakowi przyczynić się w miarę sił do nawiązywania ściślejszych stosunków pomiędzy nami, a Morawianami, o czem *Świat Słowiański* pisał w tak wymowny i przekonywujący sposób.[1]) Lecz u nas chyba tylko trąba jerychońska mogłaby wywrzeć jaki taki skutek, u nas, gdzie, jak mówi Słowacki, „myśl nie trwa godzinę“.

Wystawa kromieryżska, mieszcząca się w prześlicznym parku przy pałacu książęco-arcybiskupim, zasługuje z pewnością na baczną uwagę z naszej strony. Moglibyśmy się na niej nauczyć ogromnie wiele, widząc błogie owoce pracy kulturnej pobratymców i rozpoznając sposoby i środki, jakich oni używają, co tem większą przyniosłoby nam korzyść bo kraj nasz rolniczy, a wystawa kromieryżska posiada przeważnie cechę rolniczą.

Widzimy na niej rolnictwo i wszystko, co z niem pozostaje w związku, w najszlachetniejszym rozkwicie; widzimy olśniewające bogactwo ludowe, do jakiego pracą i oświatą dojść można. Na ziemi „błogosławionej“ Hany[2]) wykwita istny raj włościański; niema tu głodnych, ani obdartych, ani żebraków. Kto pracuje, ma z czego żyć, a chłop hanacki żyje dostatniej, lepiej i spokojniej, niż nasz obdłużony szlachcic. Bogata Hana nadaje swą cechę wystawie, toteż znajdują się na niej najprzedniejsze i najdoskonalsze ziemiopłody, jakoteż wytwórczość rolnicza, przechodząca już w wielki przemysł. Nadto chłop hanacki posiada dużo zmysłu asocyacyjnego. W każdej wsi hanackiej spółki, przedsiębiorstwa udziałowe, zbiorowa praca, czego potrzebę tłomaczą sobie rozumem chłopskim: cztery oczy widzą więcej, niż dwoje, dziesięć rąk może zdziałać więcej, niż dwie. Pozakładali więc chłopskie udziałowe cukrownie, gorzelnie, piwowary, słodownie, masarnie, krochmalnie, młyny, mleczarnie, olejarnie, wyrobnictwa sztucznego nawozu, a nawet surogatów kawy i wody sodowej. Dodać należy, że wszystkie te spółkowe przedsiębiorstwa doskonale są zorganizowane i wzorowo prowadzone, zatem przedsiębiorcom piękne przynoszą zyski. Ręka w rękę z tem postarali się własną siłą o tani kredyt, dla siebie niezbędny przy intenzywnem gospodarstwie rolnem, (zwłaszcza jeśli się je łączy z przemysłem rolniczym) przez tworzenie kas zaliczkowych, zwanych „z a l o ż n i a m i“, jakoteż kas raifeisenowskich, istniejących równolegle obok siebie. Obroty pieniężne tych kas są bardzo znaczne, w niektórych o wiele znaczniejsze, niż w pewnych zakładach finansowych, noszących szumne miano banków. Z postępowem gospodarstwem rolnem łączy się jak najściślej wyrób maszyn, przyrządów i przyborów rolniczych, czego dział na wystawie przedstawia się

[1]) Zob. artykuł p. t. „Polityczne znaczenie Moraw“ w zeszycie z listopada 1906.

[2]) O Hanie zob. artykuł p. t. „Hana i Hanacy“ w zeszycie z grudnia 1906.

niezmiernie bogato i różnorodnie. Prawie do każdej czynności rolniczej istnieją osobne maszyny i przybory, ułatwiające i przyspieszające pracę. Wytwornictwo z tego zakresu nie spoczywa atoli w ręku cudzoziemskiem, lecz we własnem, krajowem. Czeskie samodzielnie dostarczają rolnikom jaknajdoskonalszych wyrobów, a mówiono mi na wystawie, iż w okolicy miasta Prościejowa włościanie założyli własną spółkę udziałową dla wyrobu maszyn rolniczych.

Niedarmo zowią Hanę „błogosławioną“ ziemią, lecz i lud, który umie tak rozumnie pracować, można także zwać błogosławionym.

„Valašsko“ z pod Radhoszcza wystąpiło z swojem leśnictwem i pasterstwem, Lud tam znacznie biedniejszy, miejscami wśród gór skalistych nawet biedny, lecz gorliwie, choć ciężko, pracujący. Żyje głównie z chowu bydła i owczarstwa, a posiłkuje się obrabianiem drzewa, które na Morawach nie marnuje się, jak u nas, przez wywóz surowego materyału za granicę, skąd potem wraca do nas jako przetwór przemysłowy, który kupujemy za drogie pieniądze, co znaczy, że dar przyrody nie nam, lecz obcym głównie przynosi pożytek i zyski. Wałasi sami przerabiają swój materyał przemysłowo, lub przygotowują do przetwarzania w kraju; na wystawie znajdują się czeskie wyroby z drzewa krajowego pianin, fortepianów, „kuleczników“ (bilardów) i wiele a wiele innych rzeczy.

Miasta morawskie wystąpiły z wielce rozwiniętą wytwórczością rzemieślniczą. W dziale tym widać nietylko doskonałe i tanie wyroby, lecz widać także pracę szkół zawodowych, rysunki, sposoby ulepszań i ułatwiań, jednem słowem wewnętrzną istotę rękodzielni i jej wzorowego urządzenia, mającego w następstwie doskonałość i taniość wyrobu. Miasta i miasteczka morawskie porozdzielały pomiędzy siebie rękodzieła. W Prościejewie krawcy, szyją suknie męzkie dla największych domów komisowych w Wiedniu i Budapeszcie, w Kojetynie sporządzają się buty, ciżemki i trzewiki, figurujące po stolicach w wykwintnych oknach wystawowych jako „wyroby amerykańskie“, gdzieindziej fabrykują się tysiącami słomiane kapelusze męzkie i damskie i t. d. Rozumie się, że tego rodzaju wyrobnictwo, pozostające w niewoli wielkiego kapitału, oznacza ogromny wyzysk pracujących, lecz bądźcobądź jest zarobek dla biednych ludzi, którzy głównie imają się go w zimie, gdy przy roli niema zarobku, a bieda najwięcej dokucza.

Morawski przemysł domowy równie wysoce rozwinięty. W szczególności wyszywania i hafty są prześliczne. Zapełniają kilka wielkich szaf, wykazując wielką różnorodność, niektóre wzory i wykonania wchodzą stanowczo w zakres artystycznego przemysłu. Są one prawie wszystkie bardzo znamienne i razem tworzą wielkie bogactwo etnograficzne, w którem odzwierciedla się przepych zdobnictwa ludowego, używanego przy strojach. Hanačkie wyszycia sute i barwne, lecz o wiele przewyższają je słowackie rozlicznością i pięknością wzorów. Morawscy Słowacy, najliczniejsi z plemion morawskich — jest ich przeszło 80000 — stoją oświatowo i kulturalnie daleko niżej od Hanaków, lecz u nich przechowało się najwięcej okazałych i bardzo barwnych a nadzwyczaj różnorodnych strojów ludowych, jakoteż zwyczajów i obyczajów. U Hanaków, Wałachów, Lachów i Horaków z okolic Berna zamierają stroje narodowe, stając się coraz rzadsze, u Słowaków utrzymują się bez skazy na całym ich obszarze ludowym w pełni, tak samo jak stare zwyczaje i obyczaje... Rozliczność nadzwyczajna „krojów“, barw i wzorów zdobniczych. Na morawskiej Słowaczy każda większa wieś ma swój odrębny strój ludowy, a jeżeli w okolicy złożonej z kilku osad ten sam krój i te same wzory są w użyciu, to z pewnością różni się jedna wieś od drugiej przynajmniej barwą i w tej przeważa przy strojach barwa czerwona, w tamtej modra, w trzeciej zielona. Wreszcie stroje są suto zdobne, szczególnie „svadebni“ (weselne) ubranie. Od złocistych ozdób aż ćmi „pentleń,“ rodzaj kołpaku z wstążkami spadającymi na plecy, a również lśni od pozłoty przeładowany nadto rozmaitemi innemi ozdobami weselny olbrzymi kołacz powitalny, którym nowozaślu-

biona wita w domu męża jego matkę, mówiąc przy podaniu kołacza, pod którego się ugina ciężarem, następującą wzrotkę: „Mamičko, nesu chleba a syra, abyjste mne měli radi, jak vašeho syna“.

Plemiona morawskie: Lasi, Wałasi, Hanacy, Słowacy i Horacy różnią się bardzo pomiędzy sobą zarówno gwarowo, jak typowo, pod względem charakteru i usposobienia, zwyczajów i obyczajów. Mając to na uwadze, nasuwa się pytanie, jakie spustoszenie narodowe mógłby w tym kraju sprawić nierozum separatystyczny? Lecz tego niema na Morawach ani cienia. Szkoła czeska łączy wszystkich i spaja w jeden naród, czyniąc silnymi słabych, którzyby o własnej wątłej sile skazani byli niezawodnie na pożarcie przez Niemców i to najprzód Lasi i Wałasi, potem Hanacy i Horacy, a w końcu Słowacy.

Wystawa odznacza się wielką rozmaitością. Jest osobny „umělecký“ (artystyczny oddział), a w nim osobna sala dla malarstwa i rzeźbiarstwa morawskiego. W sali tej włada genialny malarz morawskiej Słowaczy Joża Urpka. Wystawił kilka zachwycających płócien z życia ludu słowackiego, jak on się weseli i smuci. Na jednym obrazie orszak weselny zdąża wśród gędźby, śpiewów i wrzasków do kościoła, na drugim żałobny pochód przez las z księdzem na czele. Jaki pyszny u niego koloryt, jaka przewyborna charakterystyka osób, chociaż całe wykonanie wygląda, jakoby było od niechcenia kilkoma pociągnięciami pędzla rzucane na płótno. Na tem właśnie polega mistrzowstwo Uprki, iż umie bez wystygania, rzutem pędzla, że się tak wyrażę, oddawać prawdę życiową i sprawiać potężne na widzach wrażenie. Obok mistrza znalazł się cały szereg jego uczniów, pomiędzy którymi Jeronek celuje. Niezawodnie talent wielki. W piórkowem portretowaniu przedstawia się równie Švabinský mistrzem. Jest tu wogóle cały szereg płócien niemałej wartości artystycznej.

Starożytnicy morawscy stawili się na wystawie z wielkim i umiejętnie uporządkowanym zbiorem wykopalisk morawskich z okresu kamiennego i bronzowego, jakoteż z czasów keltyckich, rzymskich i przeddziejowych słowiańskich.

Morawskie „Jednoty“, rodzaj straży narodowych, posiadają swoje odrębne dwie salki. Działalność ich przedstawia się nadzwyczaj dodatnio. Walczą one przeciwko germanizacyi równą pracą jak Niemcy i paraliżują ją bardzo skutecznie. Czynność ich taka sama jak niemieckich „Mark-Vereine“, rozwijających tak zwaną „małą pracę“ narodowo-kulturalną, z tą różnicą, że Czesi morawscy pracują daleko gorliwiej, niż Niemcy. Wynikiem pracy narodowej na Morawach jest, iż germanizacya nietylko ani o krok nie postępuje naprzód, lecz owszem cofa się. Po wsiach nie była ona nigdy niebezpieczną. Ludność wiejska, z wyjątkiem małego terytoryum koło Znojmu, Iglawy, koło Sternbergu od strony slązkiej w tak zwanem „Kuhlaendchen“ (Kravařsko), jest w całej masie słowiańską. Niemczyzna głównie rozpanoszyła się w środowiskach wielkiego przemysłu, jak w Bernie, Morawskiej Ostrawie, Mislku i w ogóle po miastach. Teraz odzyskują Czesi jedno miasto po drugiem, a z miast nie niemieckich, tylko podniemczałych, pozostały jeszcze tylko dwa: Břeclava (Lundenburg) i Hodonin (Göding), które posiadają większość niemiecką w radzie gminnej, podczas gdy wszystkie inne, jedno po drugiem, padły jak zdobyte fortece. Dni przewagi niemieckiej w obydwóch wymienionych miastach policzone. Prędzej czy później dostaną się one w ręce Czechów. Niemczyznę głównie tam podtrzymują żydzi. Na nich mają Czesi skuteczny środek bojkotu, a w Czechach hasło: swój ku swemu! bywa najściślej wykonywane. Jak oni są w stosunku swoim do Niemców skrupulatni, miałem tego drobny, lecz bardzo znamienny przykład. W komitecie wystawy kromieryskiej pokazywałem „przedsedzie“ (prezesowi) widokówki Kromieryża i wystawy, jakie sobie kupiłem. „Przedseda“, przeglądając je, chwyta nagle ze stołu widok Kromieryża, jak oparzony, i wynosząc widokówkę do góry, woła ze zgrozą, jak gdyby przydybał zły uczynek:

— To „dopisnica“ (widokówka) niemiecka! Patrz Pan: stoi napisane:

„Kremsier“. Było mi nie mile, iż sprawiłem mu mimowoli przykrość. Tłumaczyłem zgodnie z prawdą, że kupując widokówkę wcale nie zważałem na napis.

— U nas—odparł—zważają bardzo na wszystko. My nie „podporujemy“ Niemców w najmniejszej drobnostce.

Czesi nawet gramofony swojego wyrobu wprzęgają do pracy narodowej, jako agitatorów pomiędzy ludem. Widziałem to i słyszałem na wystawie. W jednej z licznych „piwnic“ (piwiarń) wystawowych miał gramofon mowę do pijącego ludu. Najprzód zaśpiewał: „Hej Slovane“, potem miał bardzo patryotyczną mowę, upominając, żeby garnęli się do „spolków“ narodowych, żeby wspierali Macierz szkolną i Jednoty, „bo kto skąpi na cele narodowe pracy i pieniędzy, tego Palacký, Rieger i Havliček na tamtym świecie strącą do piekła“!

Sposób gramofonowej agitacyi może się wydawać grottesque, lecz uważałem, że skuteczny, gdyż po upomnieniu, by składano datki na szkoły narodowe, jeden z gości począł od stołu do stołu zbierać składki i zebrał coś około 50 koron.

Czesi są nieznużeni w pracy narodowej, a niewyczerpani w pomysłach.

Kromieryż 14 sierpnia 1908.

G. Smólski.

Czeska kronika.

† **Antoni Truhlář**, najlepszy znawca humanizmu czeskiego, zmarł w Pradze (w Kral. Vinohradach) dnia 10 września 1908, dokonawszy w wieku lat 59 żywota pełnego pracy, zasług naukowych i obywatelskich.

Znakomity filolog klasyczny, zaczął od przekładu Metamorfoz Owidiusza, a potem zwrócił się do czeskiego neolatynizmu. Jego „Rukojeť k dějinam latinského písemnictví v Čechách ve stol. XVI“ jest bibliografią rozumowaną, niezrównanej dokładności, do dziejów czeskiego humanizmu. Dwadzieścia lat pracy benedyktyńskiej złożyło się na to dzieło, a doczekał się ogłoszenia pierwszej tylko części (zapewne Akademia czeska będzie kontynuowała wydawnictwo). W licznych monografiach przygotował materyał, obrobiony jak najsumienniej, do dziejów czeskiego odrodzenia, o którem u nas tak mało wiadomo, a które nie stoi przecież wcale niżej od polskiego. Różni się ta doba w Czechach od polskiej na swą niekorzyść tem, że czescy humaniści byli bardziej humanistycznymi od polskich i wierniej trzymali sią łaciny; toteż pomniki literackie w języku ojczystym spisane stoją niżej od naszych, ale to, co po łacinie pisywali, otaczało niejednego blaskiem europejskiej sławy, a w ogólnym ówczesnym ruchu europejskim literackim i naukowym brali udział znacznie bardziej bezpośredni od naszych. U nas rzadko który z humanistów nie pisywał po polsku; tam zaś rzadko kto pisywał po czesku, toteż popadli w zapomnienie i trzeba ich było na nowo „odkrywać“. Wiele takich odkryć dokonał Truhlář, a najważniejszem jest opracowanie Zygmunta z Jeleni, który osiadł w Bazylei (zmarł w r. 1554) i stamtąd zasłynął w Europie, jako Gelenius. Zbiór „gelenianów“, ofiarowany przez Truhlařa Muzeum czeskiemu, jest jedynym w swoim rodzaju wzorem kolekcyi bibliograficzno-kulturalnej.

Wszystkie prace Truhlařa winne być uwzględniane przez polskich badaczy, ale najbardziej studya jego nad tą literaturą, która w XIX wieku stała się jarmarczną, w którą można się zaopatrzyć także na każdym polskim odpuście: owe książeczki o Genowefie itp., których źródła literackie sięgają XV, a nawet XIV w. i prowadzą do studyów nad średniowiecznem piśmiennictwem Włoch i Francyi. Z tych badań — u nas zbyt niewielu liczących adeptów — wyłonią się kiedyś odkrycia, które będą stanowiły rewolucyę w pojęciach folkloru.

Sam Truhlář historykiem właściwie nie był, tylko zbieraczem i analitykiem materyału; ale też tacy, jak on, są niezbędni, żeby mogły powstawać konstrukcye historyczne.

Antoni Truhlář urodził się dnia 5 listopada 1849 w Ličnie pod Častolowicami w Czechach; studya gimnazyalne odbył w Rychnowie n Kn. i w Hradcu Kralowej, filozoficzne w uniwersytecie praskim. Od roku

1873 począwszy był nauczycielem gimnazyalnym w Litomyślu, w Domażlicach, w Jiczynie, od roku 1883 w gimnazyum akademickiem w Pradze, którego dyrektorem został w r. 1901. W r. 1888 powołany na członka królewskiego czeskiego Towarzystwa naukowego, został w roku 1890 członkiem Akademii czeskiej, gdzie był też od r. 1898 sekretarzem trzeciego (filologicznego) wydziału.

Czeski zjazd katolicki odbył się w Pradze w dniach 29—31 sierpnia przy udziale około 8000 osób. Był zorganizowany bardzo rozumnie, referaty były obmyślone celowo i przygotowane dobrze (a nie silono się na to, żeby ich było jak najwięcej, co bywa utrapieniem i marnowaniem zjazdów). Radzono o strajkach i kartelach (referent inżynier Dostalek) o kwestyi robotniczej (Astr), przemysłowej (Dvorský) itp. Rezultaty konkretne były trzy: osobne zebranie i narady redaktorów katolickich, założenie stowarzyszenia: Sdružení katolické intelligence i poruszenie projektu ogólno-słowiańskiego zjazdu katolickiego.

„Obzor“ katolickie pismo literackie, wydawane w Bernie, przechodzi pod redakcyę ks. Władysława Tomáška i ks. Franciszka Dohnala (nawiasem mówiąc dobrego znawcę literatury polskiej).

Dotychchczas pozostawał przez lat przeszło 30 pod redakcyą swego założyciela ks. Włodzimierza Šťastnego. *Obzor* miał swoje świetne czasy i był przez długi czas najlepszem wogóle pismem morawskiem, zasilanem przez najlepszych współpracowników (tu ogłaszał sławne swe powieści ks. Wacław Kosmak) W ostatniem dziesięcioleciu *Obzor* nie dotrzymywał kroku postępowi, zwłaszcza pod względem artystycznym i stawał się coraz bardziej pismem ludowem. Obecnie, gdy po upadku *Noveho Života* zabrakło całkiem pisma katolickiego o wyższym poziomie, ma się *Obzor* stać na nowo pismem dla intelligencyi; wyłącznie zaś dla ludu będzie redagowany *Náš Domov*.

† Wojciech Bartoněk, malarz, ur. w Pradze r. 1859, zmarł w Pradze dnia 25 sierpnia rb. Całe życie spędził tylko w Pradze i malował tylko praskie sceny ludowe — ale bo też tylko on umiał je malować. Można go zwać „malarzem ulicy“. W Pradze za mało go ceniono, on zaś i tak miłował ją nadewszystko. Przyjdzie czas, że obrazy jego będą zbierane zewsząd do... muzeum miejskiego, jako dokumenty historyczne do życia powszedniego Pragi, zwłaszcza, że posiadają również wartość artystyczną.

Kraków ma swego Tondosa, malującego znakomicie kamienie krakowskie; praski Bartoněk trzymał się ludzi, jako malarz t. zw. „rodzajowy“ — a „kamienie“ praskie (także wspaniałe) malował... tenże krakowski Tondos (może Prażanie o tem nawet nie wiedzą?).

Szczególna rzecz, że Kraków nie ma dotychczas „specyalisty“ od życia ulicznego, a Pradze brak go do zabytków. Kilkunastu malarzy polskich traktowało kiedyniekiedy ruch uliczny w Krakowie, ale żaden nie zrobił sobie z tego zawodu życia. W Krakowie widzi się też na ulicach niewiele typowego, podczas gdy życie praskie ma wybitniejsze odrębne cechy; tętni też bez porównania silniej (nietylko ilościowo), dzięki lepszym stosunkom ekonomicznym.

Franciszek Hora, autor słownika czesko-polskiego, tłumacz polskich pisarzów, „polski konsul“ w Pilźnie, obchodził podczas wakacyj 70-te urodziny. Biografie zacnego naszego przyjaciela i opis uroczystości w Pilźnie (odbytych w nieobecności jubilata, który uciekł od nich na wieś) czytaliśmy w sierpniu w *Dzienniku Poznańskim, w Kuryerze Poznańskim* w *Głosie Warszawskim*, w *Kraju* — a były zapewne i w innych pismach. *Swiat Słowiański* pisał o prof. Horze w pierwszym roczniku — teraz zaś wyraża mu ponownie cześć i życzenia krzepkiego i długiego wieku.

Nasz zeszyt sierpniowy drukuje się oczywiście w lipcu; w sierpniu mamy wakacye, we wrześniu drukujemy zeszyt październikowy i dlatego mimowoli tak późno możemy dać publicznie wyraz swym uczuciom.

Słowacka kronika.

Setna książka — prywatnego nakładu. Ksiądz Fr. Richard Os-

vald był przez 27 lat administratorem w ubogiej parafii, zabitej deskami od świata. Chciał być pożyteczny całemu ludowi słowackiemu, nietylko parafianom i dał dowód, że kto chce, zawsze znajdzie sposób na czynny udział w życiu narodowem. Przerabiał więc książki do nabożeństwa, potem sam je układał, a kształcił się ciągle, pracował nad sobą, doszedł do własnego zbioru kazań, wykładów ewangelii, próbował szczęśliwie autorstwa rozmaitych książek budujących dla ludu, i tak czynny nieustannie, zawsze miał coś „w robocie". Rządny, oszczędny, żyjąc w zaciszu, wydał pierwszą książkę własnym nakładem, nie stracił, na drugiej coś zarobił, wydał trzecią już większą, czwartą na lepszym papierze itd., aż doprowadził do tego, że on, kapłan z chudej fary, mógł obliczyć, że koszta nakładu jego wydawnictw przenoszą 100.000 koron! Nie było mu pewnie miło, że biskup na niego nie łaskaw i że go probostwa mijają, ale pocieszał się tem, że mu biskup nie może zrobić zarzutu z tego, co robi, choć mu się to może niepodobać. Ostatecznie po 27 latach został proboszczem w Teplej, dziś jest nawet dziekanem i tego właśnie roku wydał setną z rzędu książkę swego nakładu: „Výklad nedelnych a sviatočných čitaní v príkladoch pre lud katolícky".

Słowieńska kronika.

Historyę Słowieńców popularną, do użytku ludu, ogłaszał w tym roku Pavel Poljanec w *Novem Slovenskem Štajercu*. Obecnie wyszła w odbitce (8-o str. 126) i sprzedaje się w „Mariborskem Sokolu" w Maryborzu po 1 koronie.

Družba sv. Cirila in Metoda (słowieńska Macierz szkolna, której walne zgromadzenie w Ptuju stało się początkiem groźnych wybryków niemieckich), miała w ostatnim roku 95.151 kor. dochodu, 76.160 kor. rozchodu. Koła („odbory") zebrały w 1907 roku 36.000 kor., o 14.000 więcej, niż w r. 1906. Kół było czynnych 103, z tego w Krainie 49, w Styryi 32, w Karyntyi 7, w Gorycy 9, w Tryeście i okolicy 5, w Istryi jedno. Banki i gminy ofiarowały przeszło 4.000 kor., ze składek w redakcyach wpłynęło 6.563 kor., ze sprzedaży znaczków narodowych 4.960 kor., z widokówek 3.297 kor.; najwięcej dochodu dały zapałki „Drużby", bo 6.000 kor.

Südmark, alpejskie stowarzyszenie germanizacyjne, miało w r. 1907 kół 391, teraz ma ich 547 z 49.667 członków. Żeńskich kół jest 32, a 8 akademickich. Stowarzyszenie rozwija się w ostatnich miesiącach nadzwyczaj energicznie, członków przybywa mu z dnia na dzień.

Pamięć Simona Gregorčiča, poety słowieńskiego (o którym pisano tu już kilka razy) uczczono dnia 6 września poświęceniem nagrobka i tablicy pamiątkowej na Vrsnem, sporządzonych przez słowieńskiego rzeźbiarza z Gorycy, Biteżnika.

Chorwacka kronika.

(tg) **Sienkiewicza** nowela „Sąd Ozyrysa" wyszła w przekładzie chorwackim Irana, w dzienniku *Pokret*. (br. 198. str. 9. z dn. 29 sierpnia b. r.).

(tg) **Repertuar teatru zagrzebskiego** zapowiada w dziale sztuk słowiańskich tragi-farsę G. Zapolskiej „Moralność Pani Dulskiej". Jestto jedyna rzecz polska, która ujrzy niedługo scenę chorwacką, podczas gdy sztuk rosyjskich i czeskich zapowiada repertuar zagrzebski daleko więcej. Przekładu dokonał znany w Krakowie prof. Julije Benešić.

(tg) **Śmiałość Madiarów i Niemców w Slawonii** przechodzi już miarę. W mieście Osieku, zamieszkałem w znacznej mniejszości także przez Niemców i nielicznych Madiarów, doszło do tego, że Chorwaci nie mogą sobie urządzić zlotu sokolskiego. Przerażeni wspaniałą manifestacyą narodową na zlocie w Sušaku obok Rjeki, odbytym przed kilku tygodniami, robią w Osieku niesłychane trudności komitetowi zlotu. Zabraniają wszelkich mów, grożąc, że w przeciwnym razie zlot natychmiast rozwiążą, odmawiają noclegów i kwater, przedstawicielstwo miasta zmuszają do usunięcia się od uroczystości, za wszelkie ewentualne „nieporządki" czyniąc odpowiedzialnym posła i prezesa strossmayero-

wej żupy Dr. A. Pinterovića. Nie trzeba dodawać, że wszystko jest sprawką osieckich Niemców, którzy i tutaj chcą prześcignąć Madiarów w ich „patryotyzmie".

(tg) **Wielka manifestacya chorwacka** odbyła się na Sušaku, w dn. 7 i 8 września, z okazyi zlotu sokolstwa chorw., pod samym bokiem Rjeki, która z taką zapamiętałością ścigała przed dwoma laty sokołów ze swoich brzegów. Zlot ściągnął na kresy chorwackie uczestników z najdalszych stron kraju i podziałał silnie na rozbudzone uczucia narodowe kresowców, którzy ciężką wieść muszą walkę na dwie strony, bo nie tylko z Madiarami, ale i „irredentą" włoską w Rjece. Słowieńcy i Czesi, rozumie się, nie zaniedbali stawić się w szeregach bratnich sokołów; z przyjemnem zdziwieniem zaś czytamy, że i reprezentacya polskiego „związeka" sokolskiego miała być obecną na zlocie.

Dowodziłoby to, że wreszcie i nasze sokolstwo zaczyna rozumieć konieczność zbliżenia się do innych Słowian i zarzucić dotychczasową taktykę usuwania się od wspólnych występów.

(tg) **Intrygi Madiarów na międzyparlamentarnej konferencyi w Berlinie** dowodzą najjaskrawiej, jakich dróg się chwytają wrogowie Chorwacyi w dążeniu do zgniecenia jej narodowych aspiracyi. Trzech posłów do parlamentu węgierkiego, na czele prof. Dr. Gj. Šurmin, zgłosiło się do współudziału w konferencyi, jako chorwacka grupa parlamentu węgierskiego i otrzymała chętne przyjęcie. Gdy wieść się rozeszła o tem, jak i o zamiarze wniesienia przed forum interparlamentarne sprawy chorwackiej, Madiarzy widocznie użyli tajemnych wpływów w Berlinie, deputacya chorwacka bowiem otrzymuje ponowną stamtąd odpowiedź, ale treści odmiennej, że „niestety zgłoszenia nie mogą już być uwzględnione z powodu „krótkości" terminu". Posłowie chorwaccy jednak bardzo politycznie i dowcipnie się zachowali wobec tej niespodzianki, przesyłając następną odpowiedź: „Po otrzymaniu przyjęcia do współudziału w konferencyi, nadeszła nam telegraficzna wiadomość, że się żadnych nowych zgłoszeń nie uwzględnia z powodu krótkości terminu. Ponieważ jednak z naszej strony nie było żadnych nowych zgłoszeń, prosimy o wyjaśnienie sprawy". Teraz nastąpiło niezwykle długa pauza, zanim wyjaśnienie z Berlina nadeszło. Prawdopodobnie więc porozumiewano się dopiero z kołami posłów węgierskich, pod których wpływem nadeszła wreszcie do Zagrzebia odpowiedź tej treści: „Żałujemy, ale zgłoszenia nie możemy przyjąć do wiadomości, ponieważ nie należycie panowie do żadnej grupy" (bo samoistnej chorwackiej się nie uznaje!) Ta potrójna tedy, a zawsze odmiennej treści odpowiedź, najlepszym chyba dowodem, że bez inspiracyi ze strony Madiarów się nie obeszło.

(tg) **Madiarską szkołę w Pleternicy** zakłada dyrekcya kolei węgierskich w Chorwacyi, idąc za przykładem znanego związku madiaryzacyjnego „Julian". Szkoła ma nietylko kształcić dzieci urzędników madiarskich, których w Pleternicy niemal na palcach dałoby się policzyć, ale wprost madiaryzować okoliczną ludność na pograniczu chorwackiem. Osobny wóz kolejowy ma przywozić codziennie dziatwę z Požegi i Batziny do tej szkółki, a tem zwabiać i młodzież chorwacką.

† Dr. Stjepan pl. Miletić († 9. września b. r. w Monachium). Chorwacya poniosła znowu niezastąpioną niczem stratę przez śmierć Dr. S. Miletića, długoletniego dyrektora teatru zagrzebskiego, autora szeregu cennych dramatów z przeszłości Chorwacyi i dziejopisa chorwackiej sceny, przewodniczącego „Towarzystwa literackiego" w Zagrzebiu, prezesa „Związku tow. sokolich" w Chorwacyi etc. etc. — jednego z najkulturalniejszych ludzi na południu słowiańskiem. Co tę postać szlachetną o całe niebo podnosiło nad całe otoczenie, to umiejętność wzniesienia się ponad swary i brudne nieraz, niesmaczne walki stronnictw. Praca nad podniesieniem kultury narodu, w najczystszy sposób pojęta, była jedynem dlań hasłem, dla którego żył i którem też zdobył sobie uznanie całego rzeczywiście narodu, bez względu na stan, pochodzenie, zabarwienie polityczne, społeczne, czy

wyznaniowe. Toteż cała Chorwacya przyoblekła się w ciężką żałobę na wieść o śmierci tego męża, tak przedwczesnej, chociaż oczekiwanej. Długoletnią, nieuleczalną zmożony chorobą, do ostatniego tchnienia jednak pracował Miletić dla swego społeczeństwa, żywo interesując się wszystkiem, co się go tyczyło. Ciało się rozpadało, choć duch żył w pełni swego blasku i rwał się ku pracy twórczej, korzystając z każdej, choćby najdrobniejszej, chwili pozornego polepszenia zdrowia. Aż uległ w tem ciągłem szamotaniu się z przemocą bezwzględnej natury, wysyłając jeszcze ostatnie swoje spojrzenia ku ojczyźnie. Był to łącznik potężny pomiędzy Europą i tem, co najpiękniejsze w jej kulturalnym dobytku, a Chorwacyą. Toteż owoce jego pracy nie dadzą się w kilku słowach ocenić, — toteż duch jego żyć będzie przez długie dziesiątki lat w przybytkach literatury, sztuki i wiedzy chorwackiej.

O działalności jego i znaczeniu dla teatru chorwackiego podamy w następnym zeszycie obszerniejsze sprawozdanie.

Serbska kronika.

„Wielkoserbska propaganda“ stanowiła przez całe wakacye stałą rubrykę dzienników. Mając sposobność korzystania ze źródeł rozmaitych, przedstawiamy sobie tę sprawę w sposób następujący:

Koalicya serbo-chorwacka nie jest na rękę rządowi madiarskiemu; postanowiono więc Serbów skompromitować i uczynić politycznie niemożliwymi.

Równocześnie decydowano się w Wiedniu na anneksyę Bośnii, a osłabienie żywiołu serbskiego uważano za czynność przygotowawczą.

Gdyby w Wiedniu miano więcej sprytu i więcej znajomości stosunków, można było przeciw Serbom wyzyskać niejedno, bo – niestety — brudów tam dużo. Ale ta droga byłaby niebezpieczna dla Madiarów, bo wśród nich brudu nie mniej, a może jeszcze więcej. Obrano drogę najgorszą, prześladowania politycznego.

Powodu musieli Serbowie dostarczyć sami. O to nie trudno. W całej Słowiańszczyźnie, politycznie tak mało rozwiniętej, jest Belgrad punktem najsłabszym. Panuje tam nieograniczona polityczna ciemnota, a do tego i etyka obywatelska stoi bardzo nizko. W Królestwie serbskiem zawsze są spiskowcy obydwóch gatunków: zadłużeni karyerowicze, spiskowcy z rzemiosła — i szlachetni spiskowcy z naiwności, pragnący w kilka miesięcy wskrzesić carstwo Duszana. Szlachetnych naiwnych wodzą zwykle chytrzy karyerowicze i zrobią z nimi co chcą. Najgorszym zaś w Serbii — jest sam król.

N a s t i ć jest figurą nikczemną. O spisku, do którego należał, wiedziano w Wiedniu już zeszłego roku, ale dopiero teraz uważano za stosowne „odkryć“ go.

Dwór serbski wiedział również o N a s t i ć u — a nadto wiedział o w i e l u i n n y c h spiskach, o których w Wiedniu nie wiedziano, zwróconych jednak pierwotnie bardziej przeciw Czarnogórze, niż przeciw Austryi.

Jest bardzo mało prawdopodobieństwa, żeby wśród Serbów węgierskich osoby poważne należały do spisku kierowanego z Belgradu. Są bez porównania rozumniejsi od swych rodaków z Królestwa — a przytem rozmaite okoliczności sprawiają, że gdyby Wiedeń chciał stanąć na czele i d e i j u g o s ł o w i a ń s k i e j (nie wlokąc za sobą niemieckiego ogona), znalazłby wśród Serbów węgierskich nie przeciwników, lecz zwolenników.

Bułgarya Królestwem!

Wiadomość o tem nadchodzi, gdy ostatni arkusz ma iść na maszynę (5. X.), a wraz ma być ogłoszona **anneksya Bośnii**. Biorąc rzeczy ściśle, n i c s i ę n i e z m i e n i a, ale p r a g n ą c y z m i a n y mogą próbować użyć tego za punkt zaczepienia.

Druk ukończono 5-go października 1908 r.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. F e l i k s K o n e c z n y.
Kraków. — Druk W. Korneckiego i K. Wojnara.
Pod zarządem Adolfa Nowaka.